CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 40 GR.

ŚWIAT

ROK XXV — NR 36

WARSZAWA, DNIA 6-go WRZEŚNIA 1930 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

WOBEC ZARZĄDZONYCH WYBORÓW

Rozwiązanie Sejmu cała bez wyjątku opinja publiczna powitała z najżywszem zadowoleniem, zwłaszcza, że odbyło się ono ściśle według przepisów konstytucyjnych, a więc na wniosek Rady Ministrów, z podaniem motywów tej decyzji i z jednoczesnem wyznaczeniem terminu nowych wyborów.

Zachowanie wszystkich tych formalności jest bardzo ważne, kładzie bowiem kres nieuzasadnionym pogłoskom o jakimś zamachu stanu w tej czy innej formie, co niepokoiło naszą opinję wewnętrzną i szkodziło interesom Polski nazewnątrz. Jak rozigrana była pod tym względem wyobraźnia, dość powiedzieć, że niektórzy ze zdziwieniem przyjęli fakt rozpisania wyborów na podstawie dotychczasowej ordynacji wyborczej, nie zdając sobie sprawy, że — jakkolwiek nasze prawo wyborcze nie jest najlepsze — stokroć szkodliwsza w skutkach byłaby jego zmiana w drodze bezprawia, czyli t. zw. oktrojowania. Reforma taka nie mogłaby być ani trwała ani budująca na przyszłość.

Brzmienie orędzia p. Prezydenta Rzeczypospolitej usuwa w chwili obecnej obawę naruszenia praworządności. Widać z niego, że zarządzenia Głowy Państwa nastąpiły z inicjatywy rządu; stąd wynika, że obcą mu jest wszelka myśl o wykroczeniu poza ramy konstytucji, chociażby tak wadliwej, jak nasza. Znając jej braki, p. Prezydent w orędziu swem wskazuje jedynie możliwy sposób ich usunięcia — przez uprawnione do tego ciała ustawodawcze. Przekonawszy się, że dzieła tego dotychczasowy sejm nie dokona, p. Prezydent zdecydował go rozwiązać.

Społeczeństwo polskie oddawna było tego zdania. Widziało ono, że bez współdziałania rządu i parlamentu niemożliwa jest rewizja konstytucji. Posługiwano się tem hasłem jedynie, jak piłką w grze footbalowej obozów politycznych. Ministrowie występowali wielokrotnie z ostrą krytyką konstytucji 1921 roku, ale rząd nie zgłosił formalnie propozycji zmian; kluby poselskie opracowały kilka projektów, ale wszystkie one były bardzo jednostronne i nie mogły liczyć na poparcie większości. Dopiero po zamknięciu ostatniej zwyczajnej sesji sejmowej zaczął się wyłaniać kompromisowy projekt stronnictw lewicy i centrum, mogący stać się podstawą do rzeczowej dyskusji, lecz nieotwarcie sesji parlamentarnej uniemożliwiło zajęcie się nim.

Zredukowanie prac sejmowych do sesji zwyczajnej, poświęconej głównie budżetowi, zahamowało też uchwalanie nowych i nowelizowanie starych ustaw. Cierpiały na tem sprawy polityczne i kulturalne, a przedewszystkiem sprawy gospodarcze państwa. Nie można było przeprowadzić palącej reformy podatków, ratyfikować niezbędnych umów handlowych, unormować ustawodawstwa samorządowego, szkolnego, prasowego, małżeńskiego. Słusznie orędzie p. Prezydenta Rzeczypospolitej konstatuje, że po jedenastu latach niepodległości „niestety, dotąd uniknąć nie można chaosu prawnego, istniejącego w Rzeczypospolitej".

Okres między rozwiązaniem sejmu a ponownem zebraniem się jego może przynieść w tym względzie poważną ulgę. W czasie nieistnienia sejmu p. Prezydent Rzeczypospolitej uzyskuje prawo wydawania rozporządzeń z mocą ustawy we wszystkich dziedzinach z wyjątkiem zmiany konstytucji i ordynacji wyborczej, zaciągania pożyczek, nakładania podatków, ustanawiania ceł i monopolów, przyjmowania gwarancji finansowej, zbywania i obciążania nieruchomego majątku państwowego, zmiany systemu monetarnego, dalej ustalania budżetu państwowego i kontyngentu wojskowego, kontroli długów państwowych, ratyfikowania umów handlowych i innych, stale obciążających państwo pod względem finansowym lub nakładających na obywateli nowe obowiązki, a także umów, dotyczących zmiany granic i zawierania przymierza, decydowania o wojnie lub pokoju, wreszcie zmieniania ustaw o Trybunale Stanu i ustawodawstwa samorządowego.

Mimo tych licznych wyjątków pozostaje jeszcze bardzo szeroki zakres spraw, w których prawodawstwo dekretowe może mieć zastosowanie. Nie ulega też wątpliwości, że rząd skorzysta ze sposobności, aby w ten sposób wyrównać luki ustawodawcze, powstałe skutkiem dwuletniego prawie unieruchomienia parlamentu.

Inną dodatnią stroną orędzia p. Prezydenta jest skrócenie terminu wyborów o dwa tygodnie, t. j. o tyle, na ile pozwoliła przydługa i skomplikowana procedura wyborcza. Jest to ważne nietylko dlatego, że przyspiesza narodziny nowego sejmu i zmniejsza okres bezparlamentarny, niepożądany w demokracji, ale też ze względu na zredukowanie niebezpiecznego czasu rozpętania walk i antagonizmów politycznych. Im krócej trwa gorączka wyborcza, tem lepiej dla państwa. Niestety, nasza nieudolność techniczna nie pozwala dokonać nowych wyborów w 5—6 tygodni, jak to się dzieje na Zachodzie; ale już tegoroczny zysk 15-stodniowy ma swoje znaczenie i znamionuje pewien postęp w stosunku do wyborów poprzednich.

Trudno jest dziś przewidzieć, jaki będzie przebieg i wynik tej powszechnej konsultacji narodowej. To jedno pewne, że pod wieloma względami różnić się ona będzie od wyborów 1928 roku. Przedewszystkiem obóz rządowy, zwalczający wówczas głównie prawicę, a więc Stronnictwo Narodowe i „Piasta", zwróci się teraz frontem bojowym przeciwko lewicy. Zostanie ona zaatakowana nietylko przez zjednoczone siły rządowe, ale zagrożona też będzie z drugiej strony — przez wypuszczenie i dopuszczenie list komunistycznych i komunizujących, które przed dwoma laty unieważniano.

Zwłaszcza P. P. S. znajdzie się w opałach. Jeśli wystąpi samodzielnie, ulegnie w okręgach rolniczych blokowi stronnictw chłopskich, który bezwątpienia dojdzie do skutku i wytworzy wielką siłę. Jeśli sprzymierzy się z partjami centrowemi, utraci na rzecz komunistów żywioły skrajniejsze i gorętsze po miastach.

To samo dotyczy innych grup, wchodzących do „Centrolewu". Wystąpienie jego ze wspólną listą może nie dać tak wielkiego efektu, jaki wynikałby ze zsumowania głosów, które poprzednio padły na poszczególnych kontrahentów. Zwolennicy Ch. D. zrażą się obecnością socjalistów, Stronnictwo chłopskie niechętnie odda głosy na mieszczuchów, we wszystkich partjach, złączonych u góry, mogą w dole odżyć dawne urazy i uprzedzenia. Wyniknie z tego abstynencja lub wzmożenie list o wyraźnej fizjognomji.

Stronnictwo Narodowe bezwątpienia powiększy liczbę swych mandatów. Znajdzie się ono niejako poza terenem głównej bitwy; zdyskontuje konsekwentną, nieprzejednaną taktykę, która poprzednio naraziła je na porażkę; skupi uciekinierów z prawego skrzydła Ch. D., Piasta, N. P. R.; odzyska niejeden głos, który przeszedł do sanacji.

Najtrudniej ocenić szanse wyborcze obozu rządowego. Niewiadomo jeszcze, czy pójdzie on z jedną listą: od Frakcji Rewolucyjnej, po przez „Przełom", Bojkę, „pułkowników", aż do monarchistów ze „Słowa" wileńskiego i faszystów ze „Słowa" lwowskiego, czy też wystawi szereg list przekonaniowych, zawodowych, regjonalnych. Może też chwycić się taktyki bojkotu wyborów, aby wytworzyć abstynencję większości i wykazać obojętność ogółu dla samej idei przedstawicielstwa narodowego. Albo też przeciwnie: rzuci w wir walki największe atuty, postawi na czele list we wszystkich okręgach marszałka Piłsudskiego, przeprowadzi plebiscyt na jego nazwisko. Może to wydać zgoła nieoczekiwane rezultaty.

Trzeba pamiętać, że podczas poprzednich wyborów Blok Bezpartyjny liczył najwyżej na 60 mandatów; uzyskał dwa razy tyle. Partje lewicowe: P. P. S., „Wyzwolenie", Stronnictwo Chłopskie nie występowały wówczas przeciwko Piłsudskiemu, zaliczały się do jego zwolenników, nieraz podawały się za „lepszych piłsudczyków" od kandydatów Bloku Bezpartyjnego.

Dziś sytuacja się zmieniła. Kto nie będzie na liście rządowej, ten będzie przeciw Piłsudskiemu. Żadnych półsłówek, żadnych niejasności. Wybory przyszłe odbędą się nie na platformie papierowej konstytucji 1921 roku i jej projektowanych warjantów, lecz na podstawie żywej konstytucji, stwarzanej przez marszałka Piłsudskiego. Bez niedomówień, bez odchyleń, bez zastrzeżeń, Naród Polski wypowie się w listopadzie za marszałkiem Piłsudskim lub przeciw niemu. Okaże się, czy możliwa jest w sejmie większość parlamentarna, zgrana i stała, mogąca wytrzymać próbę powszechnego głosowania, bez udziału obozu marszałka Piłsudskiego i wbrew niemu, czy też głos narodu oświadczy się za utrzymaniem rządu w rękach ludzi, oddanych i wiernych Marszałkowi.

Taki będzie sens wielkiej ankiety powszechnej, zarządzonej przez p. Prezydenta Rzeczypospolitej na listopad. Zmiana konstytucji, ocena sytuacji gospodarczej, nasza polityka zagraniczna, — wszystko odejdzie na plan dalszy i wtórny.

W. Giełżyński

FRANCUSKIE ZWYCIĘSTWO NAD ATLANTYKIEM



Lotnicy Costes i Bellonte na aeroplanie „Znak Zapytania" sforsowoli Atlantyk w 38 godzin, lądując w New-Yorku. Ludność amerykańska powitała zwycięzców entuzjastycznie. Costes otrzyma dwa miljony premjów

Z WYSTAWY W WARSZAWSKIEJ ZACHĘCIE SZTUK PIĘKNYCH



J. Reichertówna „Niewolnicy"



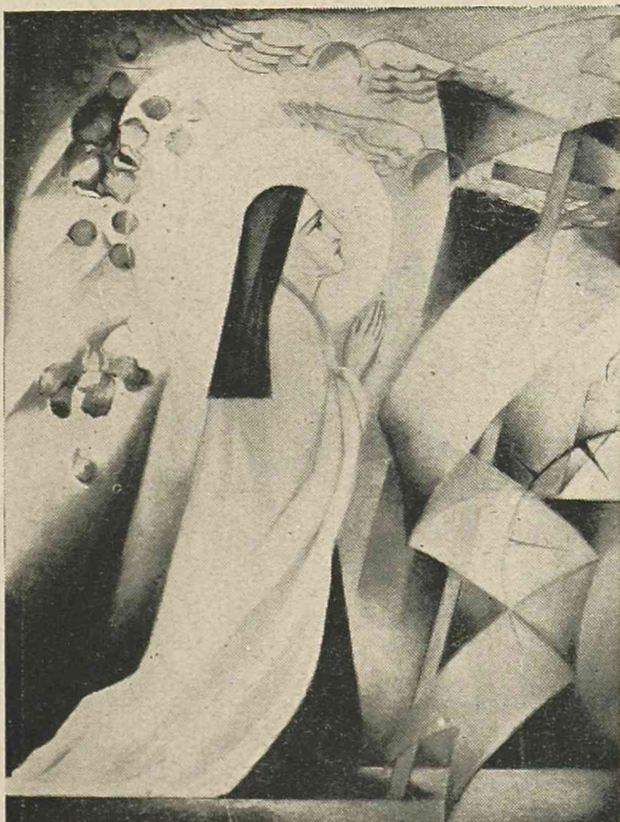
J. Reichertówna „Jutrzenka"



J. Reichertówna „Głowa" (drzewo)



J. Reichertówna „Głowa" (drzewo)



Aniela Czarnowska „Św. Teresa"



Aniela Czarnowska „Madonna"

W MIEŚCIE MARKGRAFÓW I PARSIFALA

Nad czerwonym Menem, nikłym lecz bystrym, na szerokiej równinie pomiędzy Szwajcarją Frankońską i pasmem gór lesistych zostało w końcu XII-go wieku założone przez dynastję Merańską miasto, następnie przez Hohenzollernów odziedziczone. Pod opieką nowych markgrafów Bayreuth pracowicie wznosił budowle zamkowe i świątynie, przyglądał się ich zagładzie — i gorliwie zajmował się ich odbudową. W przeciągu paru stuleci duch zniszczenia unosił się nad krajem, pochłoniętym przez walki religijne, niesnaski wewnętrzne i wojny polityczne. Bayreuth zamierał i odradzał się z niesłabnącą nigdy energją.

Wreszcie, wyniesione do godności rezydencji książęcej, zaznało miasto, wielce przez losy doświadczone, okresu chwały i wielkości za rządów ostatnich markgrafów XVIII w. Były to czasy Fryderyka Bayreuckiego, który wzmógł się na siłach i znaczeniu przez małżeństwo z siostrą wielkiego Fryderyka, księżniczką pruską Wilhelminą, znaną w historji raczej pod imieniem Zofji Bayreuckiej.

Bayreuth żył wtedy tęsknotami swej dynastji, cieszył się jej pożądaniem wielkości i chwały. Wilhelmina Zofja, przyjaciółka Voltaire'a i nieodrodna pod tym względem siostra wielkiego brata, wykańczała nowy pałac w Bayreuth, budowała letnią rezydencję, Ermitażem zwaną — wszystko na francuską modłę, podług wzorów nadsekwańskich, z zachowaniem wszelkich wymagań dobrego smaku i wykwintności uczuć, którym hołdowała księżniczka pruska. Barok i rokoko, pod względem stylu najbardziej zgodne z epoką i poprzednim rozwojem miasta, zabłysnęły w nowych i różnorodnych kształtach, będących po dziś dzień chlubą i ozdobą Bayreuthu. Wtedy powstał śliczny barokowy gmach opery książęcej, i tutaj w misternym splocie wydarzeń i wrażeń począć się miała wielkość dzisiejszego Bayreuthu i jego światowa sława.

Wagner w wieku młodzieńczym odwiedził stolicę markgrafów i wtedy powziął myśl odegrania swych „dramatów muzycznych'", egzystujących dopiero w wyobraźni twórcy, w tym właśnie cichym i opuszczonym teatrze, przeznaczonym niegdyś na przedstawienia dworskie i popisy baletowe. Minęły lata, powstały wielkie dzieła, Wagner z Cosimą powrócił do Bayreuth i przekonał się o nierealności swych dawnych planów. Dotyczyło to niemożności zainstalowania „Festspielów" w starej operze. Lecz miasto samo odpowiedziało wymaga-







F.L.

Stoją: Książe August, Wilhelm Pruski, Hrabina Cravina, Król Bawarski, W. Wagner, Horn. Weich, Toscanini, pani Chamberlain, Juljusz Gravina. Na dole: Widok ogólny Bayreuth i teatr Wagnerowski

niom, stawianym przez mistrza. Na wzgórzu sąsiednim, po przezwyciężeniu niezliczonych trudności różnorakiej natury, powstał zewnętrznie brzydki, wewnątrz pięknem greckich wzorów surowy, majestatyczny i do dzisiejszych wymagań sztuki teatralnej już przed kilkudziesięciu laty, dostosowany, rozgłośny i zwalczany, obecnie autorytetem światowym cieszący się „Festspielhaus" bayreucki.





*

W 1876 r. w Bayreuth po raz pierwszy odegrano „Pierścień Nibelungów", a w 1882 r. — „Parsifala". W kilka miesięcy później w Palazzo Vendramin w Wenecji Wagner pracowitego żywota dokonał. Wrócił do ulubionej „Wahnfriedy" już pod płytę grobową w ogrodzie, nienajszczęśliwiej nazwaną w terminologji bayreuckiej „die Stelle im Garten". Obok niego przed kilku miesiącami zaledwie spoczęła Cosima. Udręczona i pół-przytomna po śmierci mistrza, odzyskała niebawem chęć i siły do życia, skwapliwie stosując się do słów otuchy i napomnienia, wypowiedzianych w chwili katastrofy przez pierwszego jej małżonka, Hansa von Bülow. Te niezapomniane w historji Bayreuthu słowa: „soeur, il faut vivre" — były dewizą Cosimy prawie przez lat pięćdziesiąt. „Z poświęceniem zwierzęcia ofiarnego" — jak twierdził Nietzsche— nie tylko za życia mistrza, lecz i po jego śmierci torowała drogi dla jego myśli i dla jego dzieł, gruntowała Bayreuth na podstawach silnych, któreby mogły przetrwać nawet niepomyślne wstrząsy i odwroty powodzenia. Cel, zdawało się, został osiągnięty. Przyszła wojna —i rezultat zabiegliwej pracy Cosimy i jej dożywotniego ministra finansów, Adolfa von Grossa, poszedł częściowo na marne. Mozolnie zebrany fundusz rezerwowy został zniszczony przez inflację, a dar narodowy, niedawno ofiarowany Zygfrydowi, pochłonęło wystawienie Tannhausera, w tegorocznej wspaniałej inscenizacji, ostatnie przez zrządzenie losów przedsięwzięcie przedwcześnie zmarłego kierownika „Festspielów" i kustosza „tradycji bayreuckiej", który przed kilku laty z Ameryki przywiózł środki ratunkowe dla zachwianej placówki. W okresie depresji nad Bayreuthem ponownie ukazały się widma żałobne.



*

Od lat kilku, wobec usunięcia się w zacisze domowe zniedołężniałej i wiekowej Cosimy, rzeczywistym sternikiem niełatwej do prowadzenia nawy bayreuckiej był już wyrobiony w szkole matczynej Zygfryd Wagner. Z zawodu — inżynier - budowniczy, z zarządzeń Cosimy — twórca muzyczny o dość miernem powodzeniu ze szkoły Humperdincka, okazał Zygfryd niepoślednie uzdolnienie, jako inscenizator, reżyser i puryfikator zamierzeń bayreuckich, nieco zniepra wio nych w ostatnich latach rządów despotycznej, upartej i cokolwiek już przymglonej w ocenie spraw tego świata wielkiej kobiety, jaką była swego cza-





F. L.

U góry: Isolda: Nanny Larsén-Todsen, Elisabeth: Maria Müller, W środku: Parsifal: Gunnar Graarud, U dołu: Wotan: Friedriech Schorr, Tannhauser: Sigismund Pilinszky

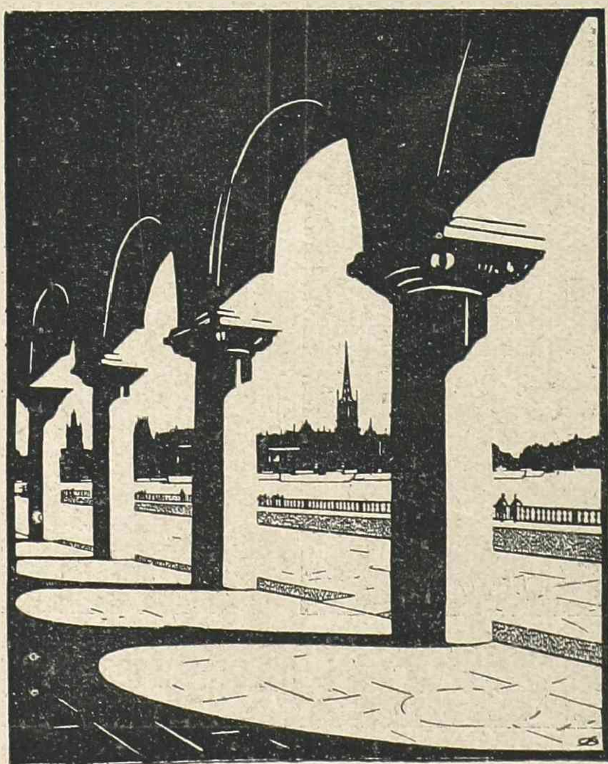
su Cosima. Kto miał sposobność oglądać „Festspiele" przed i po zmianie rządów, musi bezwzględnie oddać palmę pierwszeństwa synowi, a nie matce. Tem większym niepokojem są przejęci przyjaciele Bayreuthu o dalsze losy tego „sanctuarium" teatralnego, którego byt znowu został zagrożony w dwuch najbardziej bolesnych punktach, jakiemi są finanse i kierownictwo.

Jak głęboko Zygfryd przejmował się stroną materjalną dzieła Bayreuckiego, świadczy fakt, że zabiegał on niedawno, podobno nie bez szans powodzenia, o upaństwowienie tego teatru, który tak znacznie przyczynił się do rozgłosu i sławy sztuki niemieckiej w całym świecie... Te same troski zapewne skłoniły go już na łożu śmierci do wydania zarządzeń o bezwzględnem wykonaniu tegorocznego programu „Festspielów", nawet gdyby „Wahnfrieda" raz jeszcze obecnie miała się okryć żałobą... Przewidując, że „tusculum" Ryszarda Wagnera z biegiem czasu stanie się jednak własnością narodową, Zygfryd grób swój kazał umieścić na cmentarzu miejscowym, nieopodal mauzoleum, które sam wybudował dla swego wielkiego dziadka, Franciszka Liszta. Jestto jedyna bodaj próba architektonicznych uzdolnień Zygfryda. Kaplicę ozdobił sentencją z Pisma: „inhabitabunt recti cum vultu Tuo"... Ludzie, którzy lubią zakreślać innym skalę uczuć rodzinnych i uniesień artystycznych, twierdzą, że Zygfryd przeceniał Liszta, a ojca swego nie dość gorąco uwielbiał... O willi „Wahnfried" i ludziach, do niej zbliżonych, krążyło zawsze dużo dziwnych sądów.

Pozostała po Zygfrydzie wdowa, pani Winifred Wagner, rodowita Angielka, wychowanka Klindforth'a, jednego z najwierniejszych admiratorów angielskich Wagnera jeszcze z dawnych czasów. Do tej samej kategorji, chociaż nieco późniejszej, należał i H. S. Chamberlain, gruntownie zniemczony już w chwili tworzenia „Podstaw XIX-go wieku" i najważniejszej dla Bayreuthu, rozumowanej biografji Wagnera wraz z ideologją jego twórczości. Chamberlain, ożeniony z najmłodszą córką mistrza, Ewą, umarł już przed kilku laty i na razie pod wzgórzem appolińskiem Bayreuthu pozostały same kobiety — i dzieci. W „Wahnfriedzie" chowa się czwórka z pokolenia Zygfryda, z których syn najstarszy, Wieland Gottfryd, ma dopiero lat czternaście, a Verena, Friedelinda i Wolfgang jeszcze mniej wiosen doliczyć się mogą. Pani Winifred będzie miała o kim myśleć.

W jej zapewne ręku znajdzie się, przynajmniej na razie, i ogólny kierunek przedstawień bayreuckich, które w roku przyszłym powtórzone być mają w tegorocznym zakresie: Pierścień Nibelungów, Tristan, Parsifal i Tannhäuser. Pani Winifred ma „tradycję" bayreucką, zaszczepioną w dzieciństwie przez Klindforth'a, a wyrobioną następnie w współpracy z Cosimą i Zygfrydem. Otrzyma podobno kuratora ortodoksji w osobie młodszego hr. Graviny, siostrzeńca Zygfryda, a brata wysokiego komisarza Ligi Narodów w Gdańsku — a energji, o ile pozory nie mylą, wystarczy jej za wszystkie pokolenia bayreuckie. Już teraz, w kilka dni po śmierci Zygfryda, często się ją spotykało w krużgankach teatralnych, i sympatyczny uśmiech nowej pani Bayreuthu przebijał się przez gęste krepy wdowie. Za matką zwykle podążały dzieci, które zżyć się muszą z misterjami Graalowego wzgórza — i teraz już odwiedzają przedstawienia, próby chórów, orkiestry, solistów. Zasnęły kiedyś niebożęta — dwoje najmłodszych Wolfgang i Friedelinda — podczas takiej uroczystości, i przytulone do ramion matki jasne głowy unieruchomiły na jakiś czas szybkonogą panią Winifred... Nikt inny zapewne nie dokazałby tej sztuki.

Więc, o ile wieści niosą, rządy będzie sprawowała wdowa Zygfryda. Radę i pomoc znajdzie zawsze i w starszem pokoleniu, które w Bayreuth jest jeszcze dość silnie reprezentowane, i w młodszej nieco generacji. Z epigonów wielkiej epoki żyje jeszcze pani Gravina, żyje również córka pierworodna Cosimy z małżeństwa jej z Hansem von Bülow, pani Daniela Thode, krząta się wciąż stary p. Adolf von Gross, pracuje w pełni siły życiowej niemłody dr. Karol Muck, idealny dyrygent Parsifala. Pani Thode — niegdyś małżonka słynnego profesora heidelberskiego i właścicielka przepięknej posiadłości w Gardone di Sopra, gdzie prawem wojennem zainstalował się obecnie „Vittoriale" księcia di Monte Nevoso, czyli Gabriela d'Annunzio — pracuje stale w dziale technicznym „Festspielów", tak samo jak Muck i niezastąpiony dyrektor chórów, Rüdel, arcymistrz zespiewania zespołów, jeden z filarów powodzenia muzycznego Bayreuthu.



Oprócz Mucka dyrygowali w obecnym sezonie Elmendorff (Pierścień Nibelunga) i Toscanini (Tristan i Tannhäuser). Jego batuta stanowiła niezaprzeczenie jedną z największych atrakcyj tegorocznych uroczystości — i gdyby nie pochodzenie włoskie, a może w złoto zdobne laury amerykańskie, zapewne dr. Artur Toscanini zostałby głównym kierownikiem „Festspielów" bayreuckich. I chyba trudno byłoby o lepszy wybór.

*

Toscanini budzi zachwyt wszędzie, gdzie jego czarowna pałeczka kieruje zespołem muzycznym. Po triumfalnym objeździe Europy, poprzedzonym przez propagandę bałwochwalczą Ameryki, znalazł się wreszcie w Bayreuth. Tannhäuser — w t. zw. „opracowaniu paryskiem" z posiódemnym akordem z Tristana — szedł w próbach na pierwszy ogień... Czerwiec, upały, niemożność porozumienia się z wykonawcami, gdyż „conductor" nie umie ani słowa po niemiecku... Wysoka temperatura atmosferyczna wpływa na skażenie tonu niektórych instrumentów orkiestry, pałeczki dyrygenckie łamią się na drzazgi, a przewrażliwiony Toscanini fizycznie cierpi: mimiką i gestykulacją zaznacza tę swoją mękę, spotęgowaną jeszcze przez niezadowolenie z chórów. Niewłaściwe tempo, wadliwość intonacji. Wtedy Rüdel przerywa próbę i każe chórom odśpiewać „a cappella" — bez orkiestry — finał II-go, a następnie III-go aktu „Tannhäusera". Arcydzieło precyzji, czystości i jednolitości brzmienia. Toscanini wpada w zachwyt, rzuca połamaną batutę — partytury nie używa nigdy, bo wszystkie dzieła Wagnera prowadzi z pamięci — i idzie ściskać Rüdla z zachwytem, rozczuleniem i namiętnością. Ledwo profesor się obronił od tych dowodów entuzjazmu...

Ustaliły się stosunki przyjaciel-

skie, i członkowie orkiestry, prowadzeni i uświadamiani na migi co do życzeń dyrygenta, przepadają za Toscaninim. Zachwyca ich swoim talentem, wiedzą, odczuciem muzyki. I dlatego przedstawienie „Tristana" jest już najwyższym ideałem wykonania, jakiego nie osiągnął ani Nikish, ani — jak twierdzą rzeczy pamiętni — nawet Hans von Bülow, a jemu pieśń wagnerowska o miłości i śmierci najlepiej była znana i najbardziej bliska... Toscanini od pierwszych taktów uwertury — od cudownego motywu na wiolonczelę — roznieca w wyobraźni słuchacza jakieś płomienne tęsknoty, roztacza przed nim blaski żarów krwi nienasyconych i trzyma go pod wrażeniem swego talentu wykonawczego przez cały ten arcy-długi festival miłości i muzyki... Gdy go się widzi później, spokojnego i z melancholijnym uśmiechem na twarzy, trudno uwierzyć, że człowiek ten niedawno był ogniem i cięciwą. Genjalny artysta ma w sobie zawsze coś z Proteusza.

*

O wykonawcach mówić jest rzeczą zbędną. Są to z nielicznemi wyjątkami (Larsen - Todsen — Isolda, Melchior — Tristan, Gunner Graarud — Zygfryd) czołowi śpiewacy scen niemieckich, którzy nieraz w Bayreuth pierwsze kroki stawiali i tutaj zdobyli ostrogi rycerskie, lub też postarali się o występy w festivalu dla ukoronowania zdobytych już sukcesów. Jestto wybór śpiewaczy niemiecki, któremu przysłuchuje się audytorjum, złożone z najbardziej różnorodnych żywiołów, w masie swojej niezaprzeczenie muzykalne, a nie snobistyczne. Aż rojno jest od Anglo-sasów, mniej liczni są przedstawiciele narodów romańskich i dość chłodno dla Niemców usposobionej słowiańszczyzny... Ilościowo górują jednak rodacy Wagnera, ci, co nadłużej czekali z uznaniem wielkiego nowatora, ci, którzy najwięcej strzał zatrutych kierowali w stronę twórcy „dramatu muzycznego". Obecnie wojujący nacjonalizm chce go zaakaparować dla siebie.

I wobec entuzjazmu Niemców rodzić się muszą wątpliwości, czy Bayreuth ostoi się jako siedziba Graala, czy też dawna stolica „markgrafów" stanie się środowiskiem bojowego pangermanizmu? Zaczekajmy, jak przyszłość odpowie na to pytanie.

J. Rogala

Bayreuth

ZMIANY W ADMINISTRACJI PAŃSTWOWEJ



PUŁK. NAKONIECZNIKOFF-KLUKOWSKI, NOWOMIANOWANY WOJEWODA LWOWSKI



ZYGMUNT JAGODZIŃSKI, B. STAROSTA W ŁUNIŃCU, OBJĄŁ KIEROWNICITWO WOJEW. STANISŁAWOWSKIEGO

NASZ EKSPORT LITERACKI I ARTYSTYCZNY

Główny Urząd Statystyczny w swych wykazach pt. „Handel zagraniczny Rzeczypospolitej Polskiej i w. m. Gdańska" (zeszyt za maj) pomieszcza ciekawe dane, dotyczące naszego obrotu handlowego w zakresie „książek, pism i obrazów". Nie znajdziemy wprawdzie w wykazach Urzędu wystarczających odpowiedzi na wiele pytań poszczególnych, ale całość sprawy godna jest zastanowienia. Statystyka uwzględnią okres czteromiesięczny, od stycznia do maja. W czasie tym nasz przywóz i wywóz różnych rodzajów towarów wymienionego gatunku przedstawia się tak:

	Przywóz	*Wywóz*
	Złotych	
Obrazy i sztychy wykonane ręcznie . . .	110.000	178.000
Obrazy wykonane sposobem druku jednobarwnego	121.000	6.000
Obrazy wykonane sposobem druku wielobarwnego	412.000	21.000
Fotografje	49.000	22.000
Nuty	327.000	21.000
Pisma i wydawnictwa perjodyczne	1.806.000	53.000
Książki	3.603.000	1.413.000
Druki i rysunki handlowe i przemysłowe jednobarwne . .	601.000	126.000
Druki i rysunki handlowe i przemysłowe wielobarwne . .	940.000	34.000
Razem Zł. . .	7.969.000	1.874.000

W stosunku rocznym wyniósłby przeto przywóz około 24.000.000 zł., wywóz zaś zaledwie 5 i pół miljona. Są to dane dosyć żałosne. Ostatni „Przegląd księgarski" rozważa sprawę z punktu widzenia obrotu czysto księgarskiego (obrazy drukarskie, nuty, pisma i wyd. perjodyczne, książki) i stwierdziwszy, że do końca roku różnica na korzyść przywozu wyniesie w tym dziale 11½ miljona, uważa, że „nie jest to suma tak groźna, jeżeli zważymy, iż już w 1928 r. jedenaście z pomiędzy największych firm wydawniczo-księgarskich polskich zrobiło przeszło 38 miljonów obrotu, ogółem zaś posiadamy w Polsce około 1.200 księgarń". Pociecha niewielka, jeżeli się zważy, że znaczną część przywozu stanowią książki p o l s k i e, drukowane dla wydawców naszych w Niemczech, Austrji i Czechosłowacji.

W innych działach największe pozycje przywozowe wykazują również Niemcy: 50% dla obrazów druk. jednobarwnych; 75% dla obrazów druk. wielobarwnych; blisko 100% dla czasopism; 75% dla książek. Wydawcy nasi tłomaczą (w „Przeglądzie Księgarskim") ten bolesny fakt okolicznością, że „drukarnie niemieckie umieją zachęcić do oddawania im robót niektórych nie dosyć skrupulatnych pod względem obywatelskim wydawców polskich, drogą udzielania bardzo daleko idących ułatwień kredytowych". Lekarstwem na ten brak skrupułów „obywatelskich" ma być obłożenie cłem książek polskich, drukowanych za granicą.

Zobaczymy!...

J.

Rozmowa z Marcel Prévost, słynnym powieściopisarzem francuskim

Spokojna, ładna dzielnica Passy. Dużo ogrodów, zieleni, kwiatów... W niedużej uliczce Vineuse zatrzymuję się przed ładnym domem z ogrodem. Tu mieszka powieściopisarz francuski, Marcel Prévost. Przyjmuje mnie on w swoim salonie, pełniącym chwilowo rolę jego gabinetu, gdyż w domu całym są reparacje, zmiany etc. Dzięki temu również znany autor skarży się, że nie ma pod ręką tych książek, które chciałby mi pokazać, i że wogóle brak mu atmosfery do pracy podczas tych domowych „transformacji".

— Właściwie o co pani chodzi i co pani chce wiedzieć?

— Wiem, że pan niezbyt lubi interwiewy. Ale ponieważ ostatnio pisał pan parę razy o powieściopisarzach i ich roli w literaturze, radabym posłyszeć, co pan myśli o obecnej powieści francuskiej?

Marcel Prévost zamyśla się przez chwilę.

— Romans francuski? Właściwie przypatruję się teraz już trzeciej generacji powieściopisarzy, albo może i czwartej. Pierwsza, którą widziałem zblizka stosunkowo, nie należąc do niej, była generacja Zoli; względem niej zajmowałem oczywiście stanowisko obserwatora, raczej bierne. Następna generacja romansopisarzy była już moja, t. j. Capus, Hervieu, Gide, który trzymał się dalej od publiczności i dlatego później stał się znanym, niż inni z jego pokolenia, wreszcie i Marcel Proust... tak, tak, niech to panią nie dziwi: Proust należał do mojej generacji, choć „odkryto" go jako pisarza dopiero po wielkiej wojnie. Co zasługuje na uwagę, to, że pomiędzy generacją przedwojenna i powojenną istnieje coś w rodzaju przerwy, jakieś zerwane nici, łączące mimo wszystko dwa tak blizkie pokolenia w zwykłych warunkach. Oczywiście mówiąc o pisarzach powojennych, trzeba rozróżnić dwie epoki: pierwszą właściwie wojenną i następną, późniejszą. Wśród pierwszej mamy dużo autorów, których nazwałbym chętnie „romansopisarzami wypadkowymi", romansopisarzami, którzy zaczęli pisać pod wrażeniem wojny, pod naciskiem okoliczności, stwarzając nieraz rzeczy bardzo piękne i wartościowe, ale bez przeszłości i bez przyszłości. Takimi są np. Barbusse i Remarque, ale to nie są prawdziwi romansopisarze.

— Przepraszam, ale co według pana jest zasadniczą cechą prawdziwego romansopisarza?

— Cechą zasadniczą prawdziwego romansopisarza jest przedewszystkiem naturalna jego płodność. Pisze, bo musi, bo nie może inaczej. I ma dość tchu, aby dokończyć raz zaczętego dzieła.

— A Flaubert? wszak nie odznaczał się płodnością?

— Myli się pani. Flaubert pracował powoli i stąd legenda o rzekomej jego niepłodności. Ale niech się pani kiedy przypatrzy zupełnemu wydaniu dzieł Flaubert'a... ile tomów!...

— Jacy romansopisarze zatem przedstawiają według pana pierwszą generację powojenną?

— Naturalnie Mauriac, Dorgelès, Béraud, Lacretelle i Benoist. Niezmiernie liczna generacja, która nastąpiła po nich, jest właściwie generacją nowelistów, a nie romansopisarzy. Ma ona dużo talentu, ale oprócz rzadkich wyjątków szuka i nie znalazła jeszcze swojej drogi. Lubi też „épater" (zdumiewać). Zauważyć tu można często wyrzeczenie się psychologji i dedukcji. Ale w tej nowej generacji niema jeszcze wielkiego powieściopisarza.



MARCEL PRÉVOST

— W jaki sposób określiłby pan, jeżeli wolno mi o to zapytać, wielkiego powieściopisarza?

Marcel Prévost musiał nieraz rozważać ten problemat, bo odpowiada mi bez namysłu:

— Wielkim powieściopisarzem jest ten, który potrafił przetłomaczyć swą epokę na język powieści.

Wspominam Sienkiewicza, Reymonta i innych polskich i zagranicznych autorów i w myśli przyznaję słuszność temu trafnemu określeniu.

— Czy mogę spytać, co pan sądzi o tegorocznym laureacie Marcel Arland?

— Miał odwagę napisać książkę pogłębioną, nad którą wiele myślał. To nie bańka mydlana.

— Dlaczego powieść francuska tak mało stosunkowo zajmuje się cudzoziemcami i ich życiem?

— Ostatnio zajmowano się nimi nawet wiele. Ale naogół Francuzi mało znają cudzoziemców i dlatego mało stosunkowo o nich piszą. Co do mnie, sądzę, że aby poznać ludzi innego kraju, trzeba pomieszkać wśród nich przynajmniej parę lat. Przed wojną napisałem romans niemiecki „Pan i Pani Moloch", gdzie starałem się przedstawić Niemcy tradycjonalne i Niemcy Bismarka. Ale przedtem dość długo przebywałem w Niemczech. Obecnie w nowoczesnej literaturze francuskiej i w romansie francuskim widzimy wśród wielu nowych i interesujących tendencji również tendencje egzotyczne.

— Co pan sądzi o przyszłości?

— Że wkrótce ujrzymy znowu wielką epokę wielkiego romansu.

— To znaczy takiego, który został stworzony „sub specie aeternitatis"?

— Każde dzieło, aby przetrwało swą epokę i mogło żyć w następnej, powinno być stworzone również „sub specie continuitatis".

Mówimy następnie o powojennych powieściach Marcel Prévost, które są zadziwiające zrozumieniem obecnej epoki, a szczególniej o ostatnim romansie, drukowanym najpierw w ciekawym tygodniku paryskim „Gringoire", „Oto twój Pan" (Voici ton maitre), subtelna historja duszy kobiecej, łączącej resztki tradycji z psychologją już „moderne". Andrea ma męża niekochanego, choć kochającego, opłakuje go szczerze, gdy go straciła, ale jej „Panem" będzie młodszy od niej Roland, brat jej przyjaciółki, Fanny, o wiele mniej wykształcony od niej, ale sportsmen i bussinessman, energiczny, piękny, egoista, bardzo „moderne", a mimo to „Ewig Mänliche" w swych uczuciach dla kobiety i dla rodziny. Dwa światy przed i powojenny łączą się w sposób niezmiernie ciekawy i wycieniowany w tej powieści Marcel Prévost, a oprócz tego znajdujemy tam obraz Paryża powojennego z jego życiem gorączkowem, pośpiesznem, starającem się wyzyskać wszystkie dni i chwile. Ale Marcel Prévost jest nietylko autorem, lecz i wielkim erudytą, o czem przekonuję się, widząc jego przekłady Owidyusza w uczonej kolekcji Guillaume Budé, gdzie współpracują sami uczeni francuscy, pozatem jest redaktorem wielkiej revue literackiej etc. etc. Życie niezmiernie czynne i wypełnione po brzegi.

Dr. M. Kasterska

Paryż.



Fot. Jan Ryś

Manifestacje w Warszawie: olbrzymi tłum w dn. 31 ub., zebrany na placu Teatralnym, uchwalił rezolucję przeciw mowie Treviranusa i rewizji granic. Gen. Górecki i sen. Evert idą wręczyć min. spr. zagr. A. Zaleskiemu rezolucję uchwaloną na placu Teatralnym.



Obrady państw rolniczych w Warszawie pod przewodnictwem min. rolnictwa p. Janty Połczyńskiego

WINCENTY KOSIAKIEWICZ

ZE WSPOMNIEŃ L. KOTARBIŃSKIEJ

P. Lucyna Kotarbińska, żona ś. p. Józefa, dyrektora, reżysera i artysty dramatycznego, wydała przed kilkoma miesiącami interesującą książkę wspomnień z życia literackiego, teatralnego i artystycznego swojej epoki. Obecnie pracuje nad nową publikacją tegoż rodzaju. Dajemy z niej wspomnienie o znakomitym literacie, publicyście, ś. p. Wincentym Kosiakiewiczu. Jesteśmy pewni, że zaciekawi naszych czytelników.

Nie mogę nie zanotować bardzo znamiennej naszej znajomości, więcej, naszej przyjaźni z Wincentym Kosiakiewiczem.

Otóż, jeszcze mieszkaliśmy na Nowym-Świecie w Warszawie, kiedy przyszedł do nas młody autor, niezmiernie życzliwie za pierwsze swe prace przez krytykę przyjęty: Wincenty Kosiakiewicz.

Była godzina czwarta po południu. Podałam herbatę, przy której rozmowa obracała się koło jego twórczości i pisania.

— Żebym ja miał tę atmosferę, jaką od pierwszej chwili wyczuwam w waszym domu, to przecież tak wiele znaczy. Nie mam jej. Więc pozwólcie, żebym choć czasem mógł nią odetchnąć. Nie gniewajcie się, że będę tu zachodził. Wybaczcie, jeśli to będzie się powtarzało zbyt często. Może będę czasem zbyteczny, może natrętny, powiecie mi to wtedy szczerze. Prawda? Ale nie odmawiajcie mi obracania się wśród waszej pogody, tu, na tem czwartem piętrze, w tym domu, gdzie tyle słońca, tyle ciepła, radości życia, życzliwego słowa.

O 6½ musiał Józef iść do teatru, grał wieczorem.

— Czy pozwoli mi pani zostać jeszcze chwilę?

Tak byłam zachwycona wrażeniem, jakie na nim zrobił nasz domeczek ukochany, że nietylko pozwoliłam, ale zaraz zakrzątnęłam się koło drugiej, solidniejszej herbatki. Wypiliśmy, zjedli, co Bóg dał, o 8-ej. Po 11 przyszedł z teatru Józef. Zastaje gościa, nie dziwi się, bo to u nas we zwyczaju.

Serdelki się odgrzewają, zjadamy je z apetytem, bo znów oddzieliło nas kilka godzin od ostatniego posiłku.

Parzę kawę, otwieram wiśniową nalewkę, tak zwaną przez Janka Owidzkiego, a jego autorytet był w domu ceniony, „Czerwoną Damę", o ustalonej smacznej renomie i rozmowa, przeplatana, zawsze, zachwytami nad wszystkiem, co go otacza, choć tak niewiele tam było powodu do zachwytu, trwa do 4-ej rano.

Dwanaście godzin, chwalić Boga, przebył z nami, a wychodząc, raz jeszcze prosił, prosił „pokornie" o tę gościnność, która mu dała chwile prawdziwego wypocznienia, która jest balsamem dla jego duszy i stanie mu się odtąd „potrzebą serca".

Dwanaście lat potem nie był.

Aż zjawił się w Krakowie, jadąc z Paryża, już ze srebrnym promieniem w puklach gęstej, jeszcze czarnej czupryny. Wzdychał. Niezawodnie miał jakieś kłopoty sercowe, bo my, kobiety, mamy łatwość ich wyczucia, a był już żonaty.



W. KOSIAKIEWICZ

Więc pytam go mimochodem, słysząc te westchnienia:

— Czy to może — ta druga?

— Nie — ta trzecia... — odpowiada z melancholją.

Jak sobie z tem poradził, nie dowiedziałam się, bom się coprawda nie dowiadywała, otaczając zawsze dyskrecją cudze sprawy sercowe. Ułożyć się one jakoś zawsze muszą, a o ile nie są nasze własne — to najnudniejsze na świecie. Więc mówić o nich niema co.

Bytność jego u nas poprzedził list p. Żuk-Skarszewskiego, stałego współpracownika „Kraju", który z Petersburga pisze do mego męża:

„Szanowny Panie Dyrektorze.

Znany powieściopisarz i współpracownik „Kraju", p. Kosiakiewicz, ma, w przejeździe, zatrzymać się czas jakiś w Krakowie. Korzystając z tego, pozwoliłem sobie zwrócić się doń z prośbą, by zechciał uczynić to, co ja uczynić pragnąłem i w czem przeszkodził mi nagły wyjazd do Petersburga, to jest: uprosić Szanownego Pana o chwilę rozmowy, by na jej podstawie skreślić w „Kraju", w głównych rysach dzieje świetnej kampanji, którą Szanowny Pan, z taką energją i dzielnością, wiedzie ku pożytkowi sceny polskiej i polskiej literatury. Ośmieliłem się zapewnić p. Kosiakiewicza, że Szanowny Pan nie odmówi mu swego współudziału, by mu to zadanie ułatwić; ośmieliłem się zaś ufny w Jego przyjacielskie dla „Kraju" i jego redaktora uczucia.

Przesyłając ukłony Pani, łączę wyrazy prawdziwego poważania.

Żuk-Skarszewski".

Żuk-Skarszewski polecał Kosiakiewicza niby obcego, bo nie wiedział nic o tych dwunastu godzinach, które związały nas przezabawnem wspomnieniem na zawsze.

W Krakowie spędził z nami Kosiakiewicz parę miłych chwil. Bywał w naszej loży w teatrze co wieczór, poznał u nas Stanisława Wyspiańskiego, Rudolfa Starzewskiego, Konrada Rakowskiego. Bywał codzień na obiedzie. Zrobiliśmy naprędce zaimprowizowany spacerek, na którym stwierdziłam, że źle chodził, jak prawdziwy mieszczuch. A bez tego kontaktu niema sojuszu przyjaźni ze mną do dziś. Wyjechał bez pożegnania, natomiast napisał list:

„Droga Pani.

Wolałem na pożegnanie napisać Pani parę słów serdecznych, niż powiedzieć je, dlatego, że napisane słowo ma jakąś większą wagę, a mnie bardzo zależy na tem, aby Pani wiedziała, że wyjechałem z Krakowa z najżywszą, najgłębszą wdzięcznością za okazaną mi życzliwość, na którą sobie jednak niczem u Pani nie zasłużyłem.

Przypominasz mi, najserdeczniejsza Pani, tę postać z monety francuskiej, która szczerym i szerokim gestem rzuca płodne ziarno na ziemię, qui sème à tout vent. I Pani sieje na wszystkie wiatry dobroć, szczerość, życzliwość, przychylność, nie patrząc, ani na chwilę, czy ma przed sobą przeorany czarnoziem, czy kamienną opokę.

Znużony, wyczerpany, popękany jak stare skrzypce, doznałem w Pani towarzystwie wielkiej ulgi, za którą zachowam dla Pani długą wdzięczność — jestem pewny, że anioł-buchalter zapisał też coś, z mego powodu, na rachunku Pani.

Całuję ręce Pani, Pani Lucyno.

Wincenty Kosiakiewicz
11.11.901. Warszawa".

Potem istotnie przyjaźń nasza się — usystematyzowała. Przysyła mi do Krakowa swe poezje: „na pamiątkę starej naszej przyjaźni

przesyłam tę najdroższą dla mnie książeczkę".

Maleńka, śliczna, przepisałabym ją całą, od początku do końca, tyle w niej prostoty i szczerego uczucia. Bo czy mówi:

Fiołków pełen sad, sasanek pełne knieje,
Kaczeńców złoty ścieg przetyka łąk
[kobierce —
— płaczesz ... serce ...

Czy woła, że:

Radośnie gwiżdże kos, miłośnie krzyczą
[stawy,
Wesoło w cieniu drzew fujarkę pastuch
[wierci
— Panie! ... śmierci ...

Czy kiedy żegna mary młodości i pisze:

A teraz taka w domu mojej duszy
Pustka — że gdyby nie pamięć o Tobie,
To jużby większej nie mogło być głuszy
W pustyni żadnej — nigdzie — nawet
[w grobie,
Gdyby nie gość ten w domu mojej duszy.

Albo gdy błaga:

Niech mnie sen rajski nigdy nie kołysze,
Lecz niech się skończą pamięci męczarnie,
Królestwo życia dam za serca ciszę.

Nie układało się widocznie z tem sercem tak prędko i pomyślnie wszystko, jak to sobie myślałam. I tak bywa.

Może te rymy były łatwe, może zbyt łatwe. Ale nie było pewnie równie łatwe przeżycie tego wszystkiego, co ich treść zawiera i co było ich natchnieniem.

Potem na wieść, że mam być w Warszawie, zaprasza mnie w swojem i żony imieniu na obiad.

Byłam we własnej willi państwa Kosiakiewiczów w Milanówku, gdzie było i dużo książek i dużo słońca, i wygodnie i ładnie, ale skąd także, dajmy na to, o południu, wróciwszy z Warszawy, pan domu powiada żonie: daj mi walizkę, jadę za pół godziny. Poczem na dwa, trzy lata, w Szwajcarji czy Paryżu, przepada bez wieści.

Kiedyś, odpowiadając na jakieś zaproszenie, pisał mi:

„Najmilsza Pani!

Zapóźno otrzymałem bilecik Pani. Za pamięć o mojej nikczemnej osobie dziękuję stokrotnie i ze wzruszeniem. Pana Józefa kocham jednakowo i może mu to droga Pani powie czułym głosem.

Całuję ręce.

Kosiakiewicz".

Mężowi memu przysyła książkę pod tytułem „Z powrotem", pamiętnik człowieka współczesnego, z napisem: „Józefowi Kotarbińskiemu, z najgorętszemi wyrazami uznania za długoletnią szlachetną i umiejętną pracę dla polskiej kultury artystycznej".

Później jest najlepszym kolegą, kiedy po przyjeździe do Warszawy, wezwana przez p. Stefana Krzywoszewskiego, redaktora „Świata", obejmuję redaktorstwo pisma dla kobiet „Nasz Dom", za co mu wieczną wdzięczność w sercu chowam, bo praca ta realizowała moje najwyższe marzenia, otwierając drogę do pełnienia służby społecznej. Redakcja „Świata", w której współpracował Kosiakiewicz, była w tym samym lokalu. Nie odmawiał mi nigdy wskazówek i rad doświadczonych, których oczywiście bardzo potrzebowałam. Nazywa mnie „dobrą, drogą koleżanką" w liście, który pisze już ze szpitala Ś-go Rocha, gdzie kilkakrotnie był operowany, dając mi różne zlecenia, które sumiennie spełniłam.

I... przychodzi śmierć, o którą prosił Pana. Rewelacje, z tamtego świata, upewniają nas, że dobrze się tam czuje, że pogodny i swobodny.

Więc „ciszę serca" zdobył.

Pan Bóg, w którego wierzył — spełnił jego ziemskie pragnienia.

CO CZYTAĆ?

KRYZYS DEMOKRACJI — KONTYNENT NIEZGODY — POLSKA ORGANIZACJA WOJSKOWA

Od lat kilku wałkuje się u nas sprawę rewizji konstytucji. W związku z tem opublikowano kilka projektów, postarano się o analizę tendencji ustrojowych na Zachodzie i Wschodzie Europy. Projekty te, jak i analizy dotychczas istnieją na papierze, gdyż wśród sfer miarodajnych zagadnienie nie zostało sformułowane pozytywnie. W pewnych kołach modny jest obecnie „Kryzys demokracji". Kierunek to nienowy, znany przed wojną, a nawet jeszcze u schyłku XIX wieku. Wiąże się on z niedomaganiami parlamentaryzmu, usiłuje na formułach G. Sorela demonstrować nowe formy, przeobrażenia socjalne i dawać im wyraz w koncepcjach prawnopaństwowych bezwzględnych a obliczonych na celowość polityczną. Jak wiemy, ten sposób ujęcia rzeczywistości politycznej stał się busolą tak dla Mussoliniego, jak i dla Lenina.

P. Kazimierz Zakrzewski, autor książki p.t. „Kryzys demokracji", był też pilnym czytelnikiem Sorelowskich „Refleksji o gwałcie". Znać to tak na „zmierzchu liberalizmu", „drogowskazach", jak i „Syndykalizmie, jako programie historycznym". Podstawą rozumowań p. Zakrzewskiego, jak i jego poprzedników jest stwierdzenie, że „wewnętrzna słabość państwa była dogmatem polityki liberalnej". Nie będziemy atakowali tej formuły ani pod względem rzeczowo-historycznym, ani też pojęciowo-prawnym. Wyrosła ona z krytyki parlamentaryzmu. P. Zakrzewski wysuwa z „dogmatu" tego i pewne wnioski. Pisze on, iż „w masach robotniczych istnieje tęsknota zarówno za silnym rządem, jak też za utrwaleniem bytowania klasy robotniczej, jako grupy organicznej, co lepiej wyraża się w ruchu zawodowym, aniżeli w partji politycznej". Stąd już prosty jest wniosek przeciw rządom stronnictw.

Książka p. Kazimierza Zakrzewskiego pt. „Krzyż demokracji", jako próba głębszego wniknięcia w mechanikę i treść przeobrażeń ideologicznych w Polsce, zasługuje na uwagę. Warto też zająć się pracą p. redaktora Emila Rueckerta pt. „Kontynent Niezgody". Są to rozważania o kryzysie europejskim. Po słynnej mowie niemieckiego ministra Treviranusa szersza publiczność potrzebuje podręcznej książki, któraby informowała o zagadnieniach aktualnej polityki głównych kontrahentów. Układ sił zmienił się znacznie przez ostatnie miesiące. Dojrzewają liczne kwestje, wobec których ojczyzna nasza musi stanąć z zdecydowanym programem. W rozdziale szóstym p. Ruecker zajmuje się nawet „przymusową wspólnotą ludów europejskich". Czytelnik, interesujący się polityką, znajdzie więc w książce tej i problemy dalekiej czy niedalekiej przyszłości.

Instytut badań najnowszej historji Polski wydał „szkice i wspomnienia", dotyczące P.O.W. pod redakcją gen. Juljana Stachiewicza, Wacława Lipińskiego. Na książkę tę złożyły się prace Józefa Piłsudskiego, gen. E. Rydza-Śmigłego, A. Koca, W. Sieroszewskiego, M. Sokolnickiego, A. Borkiewicza, M. Kościałkowskiego, Ig. Boernera oraz innych.

E. C.

ZGON POETY



André Rivoire, poeta subtelny i delikatny, autor sztuk teatralnych, które na całym świecie grane były z powodzeniem, zmarł w Paryżu, w pełni sił. Poezje Rivoire'a cechowało uczucie i szlachetnie pojęty erotyzm. Umiał być równocześnie tkliwym i zmysłowym. Posiadał przytem swoisty wdzięk i dowcip w najlepszym smaku. Jego komedja wierszem „Dobry król Dagobert", świetnie przełożona na język polski przez Zdzisława Kleszczyńskiego, cieszyła się na scenie Teatru Polskiego dużem powodzeniem. Rivoire, obok de Flers'a, był jednym z założycieli Konfederacji Międzynarodowej Związków Autorskich, ostatnio był jej prezesem. Przewodniczył na dorocznych kongresach z wielkim taktem i z doskonałą znajomością rzeczy. Był to literat wysokiej kultury i człowiek niezwykle sympatyczny.



George W. Cooper



Aida Narld

Teatr murzyński w Paryżu

Czy szumna ta zapowiedź na afiszach teatru Porte St. Martin odpowiada rzeczywistości? Nie zdaje mi się, aby można było mówić o teatrze murzyńskim w obecnej jego fazie. Ani codzienne tragedje wynikające z wyzysku i wzgardy, tych dwóch form stosunku zarozumiałych jankesów do czarnych, ani bogaty materjał dramatyczny i komiczny wewnętrznego życia upośledzonej tej rasy — nie znalazły dotąd odbicia w repertuarze teatru murzyńskiego. Obejmuje on z reguły liczne sketch'e i scenki humorystyczne, przeplatane śpiewem, tańcem i akrobatyką. Właściwie, publiczność amerykańska narzuciła zamiłowanie swe do rewji music-hall'owych murzynom, którzy przerobili je tylko na swą modłę. Wnoszą tu wszakże temperament i rozmach specyficzny, które utartą tę formę widowiskową zabarwiają jaskrawym egzotyzmem.

Dwukrotnie już w „Théâtre des Champs Elysées" i w „Moulin Rouge" widzieliśmy spektakle murzyńskie. Operetka rewjowa „Liza" w układzie i reżyserji słynnego L. Douglasa góruje nad niemi pewną jednolitością logiczną wątku i akcji. Zaczyna się od zabawy ludowej na plantacjach bawełny w Luisianie. Dokoła nadobnej Lizy uwija się sporo zalotników, ale dandys przyjezdny korzysta z popłochu wywołanego nagłą burzą i umie ją skłonić do ucieczki z nim do N. Yorku. Goni ich nieśmiały kochanek Rastus, który po różnych perypetjach i starciach niefortunnych z uwodzicielem wstępuje do teatrzyku i staje się jego vedette'ą. Tymczasem Don Juana przyłapano na przemytnictwie alkoholu i Liza skruszona powraca do Rastusa. Skończy się rzecz małżeństwem na rodzimej plantacji.



L. Douglas, słynny aktor i reżyser

Przekonujemy się z punktu, że pojęcie murzyna zupełnie inaczej wygląda w Ameryce, niż u nas. Widzimy na scenie blondynki i szatynki obok brunetek. Płeć — śmietanka zlekka przyrumieniona z domieszką kilku kropel kawy, kakao... kończąc na przypalonej czekoladzie. Ani śladu otyłości, wełna kędzierzawa na główkach jest rzadkością — smukłe, szczupłe raczej i chłopczykowate tancerki — naogół ciekawsze są i ładniejsze niż girlsy angielskie, któremi nas raczą w „budach" paryskich. Świadectwo to bodaj wymowne skutków szczególnej gorliwości purytanów zaatlantyckich w kierunku polepszenia i asymilacji „niższej" rasy, którą skądinąd tak gardzą... Chyba aksamit wilgotnych żarzących się źrenic, żywsza purpura usteczek, no i obwódka z onyksu lub lila na paznokietkach zdradza nam tchnienie gorętsze Afryki...

Objawi się jednak za chwilę z całym swym czarem egzotycznym. Zgrabne nóżki w pończoszkach niebieskich, zielonych, spódniczki czar-



L. Warner, wybitna artystka murzyńska

iką tańca. Brutalny okrzyk basowy myśliwca wdziera się w flety srebrzyste sopranu, to znów na kanwie aksamitnego błagania barytonu wybucha w dziwnie chrypliwej ruladzie nagły tryl-charkot namiętny słowika iście murzyńskiego... I jeśli się doda czar mimiki, w której z pasją współdziała każdy muskuł, każdy atom artysty - murzyna — otrzymamy blade zaledwo odbicie swoistego typu kreacji aktorskiej, jaką nam dają panie V. Snov, L. Warner, M. Bernard, A. Salomon, panowie L. Douglas, F. Jones, M. Riley etc.

Teatru murzyńskiego nie sposób wyobrazić sobie bez jazz-bandu. Z dwóch kakofonij o rytmie odrębnym stwarza on własną harmonję. Wrzask trąbek i saxo-



Anna Solomon, artystka dramatyczna i tancerka

ne i cytrynowe oraz staniki koloru bzu i purpury z pękiem wstążek tęczowych przy gorsie lub na kapeluszu na wdzięcznie strzelistych postaciach o roześmianym buziaku... Wprawcie wszystko to w ruch frenetyczny o rewelacyjnych podskokach — dokoła skaczących jak pajace mechaniczne dryblasów o kędzierzawej czuprynie i białkach niebieściejących w hebanie surowym twarzy, które rozcinają nagle błyskawice zębów olśniewających w oprawie fioletowej warg... a zobaczycie feerję rozkrzyczaną, mieniącą się tęczą papuzią, która wywodzić się może tylko z ojczyzny kości słoniowej.

Taniec jest głównym motorem ekspresyjnym w tych widowiskach. Podbił on w reprodukcji salonowej trzy kontynenty, ale istota jego pozostaje dla nas nadal sensacją frapującą. Taniec europejski dąży do śpiewu zmiennych linij ciała ludzkiego w ruchu klasycznym lub imitującym pewne gesty bojowe, hieratyczne, miłosne. Przepaść dzieli go od choreografji murzyńskiej. Ma się tu wrażenie, że w jakimś wybuchu odśrodkowym głowa, szyja, ręce, plecy i nogi tancerzy zyskały zupełną niezależność i działają same dla siebie bez troski o całość. Pozorne rozprzężenie tych kanciastych lub wężowych ruchów, wyskoków, upadków, podrygów, wykonywanych z osobna a równolegle przez każdy członek tancerza, narzuca nam z dziwną wymową obraz plastyczny — scen pracy, bójki pięściarzy, zalotów, gruchania i kłótni kochanków, żalu, gniewu czy namiętnego wybuchu... gdyż rozpętaną w samych dysonansach anarchję trzyma w żelaznych wędzidłach rytm stopy wybijającej takt stukiem twardego bucika. W bogactwie warjantów tego mimetyzmu akrobatycznego dochodzą oni do mistrzostwa wprost niedoścignionego.

Bardzo ważną rolę gra śpiew. Melodje nostalgiczne, smętne, palące splatają się zgodnie z konwulsyjnie drewnianą moza-



M. Bernard, podbiła Paryż swoją grą pełną finezji

fonu — jak klaksony automobilowe, pojęk melodyjny banjo niczem szum drutów napiętych telegrafu, warkot bębnów, kołatek i trzask talerzy z metalu — jak huk zderzających się buforów, zgrzyt głuchy szyn i transmisji i syk zjadliwy osi i turbin — jazz-band jest zlepkiem wszystkich odgłosów gorączkowego tempa życia mechanicznego naszej epoki. Że spotkały się tu i spoiły ostatni krzyk modernistycznego postępu z furją roztrzęsiona zmysłową czarnego prymitywizmu — omen to znamienny, co wiele daje nam do myślenia.

Edward Woroniecki

Paryż.

NOWY KAPRYS MILJONEREK AMERYKAŃSKICH



W POLEA-BEACH, ZNANEJ AMERYKAŃSKIEJ MIEJSCOWOŚCI NADMORSKIEJ, W GORĄCE DNI PIĘKNE PANIE GRAJĄ NA PLAŻY W BRIDŻA NA PŁYTACH Z LODU...

Rys. A. Siemaszko



Dziwna rzecz — doprawdy...

Niema zdawałoby się takiej dziedziny w życiu jednostki czy ludzkości, do którejby nie wglądnęło „mędrca szkiełko" i którejby potem nie opisało tegoż mędrca piórko, — tymczasem tak poważna połać intellektualnego współżycia, jak *wymyślanie*, dziedzina odgrywająca tak przemożną rolę zarówno w polityce, jak w polemice (publicznej czy rodzinnej), odcinek, że się tak wyrażę, frontu życiowego w skali planetarnej, leży dziewiczym odłogiem niczem dżungla, której żaden filolog, psycholog czy socjolog nie kusił się dotychczas poddać pionierskim bodaj badaniom.

Dlaczego? — Nie rozumiem, lecz gotów jestem przypisać to zwykłemu przejawowi genjuszu ludzkiego —przeoczeniu, które spostrzegłszy, uważam za swój społeczny obowiązek naprawić choćby szczupłym nakładem sił własnych, a więc niefachowo.

Facio, quod possum, jak rzekł pewien rzymski krytyk „zerżnąwszy" najniesłuszniej autora.

Proszę jednak nie przypuszczać, że nadając niniejszemu essai'owi tytuł: *„Ach, ty!..." i t. d.*, — pragnąłem go zamknąć li tylko w ramach wymyślań klasycznych à la „cztero" i „pięciopiętrowe" sobaczenia rosyjskie, ponad które, według moich badań, żaden jeszcze naród świata wznieść się nie był w stanie. Zamiarem moim jest skreślić dyletancką, acz możliwie pojemną, monografijkę o wymyślaniu z uwzględnieniem, możliwie najszerszem, wymysłów rodzimych. Oczywiście będę pisał tylko o tych „wymyślnych" słowach (i to nie o wszystkich), które z lekkiej ręki koryfeuszów poezji i prozy naszej zdobyły sobie w literaturze nadobnej drukarskie prawo obywatelstwa. Nie dotknę natomiast tych, które wchodząc do poniektórych tylko dokumentów piśmiennictwa ojczystego (jako to: parkany, wyczerpujące słowniki, mury pewnych ubikacji i t. p.), trwają przechowywane pokoleniami i setkami lat w tradycji ustnej.

Powracając do faktu przeoczenia bytu, że się tak wyrażę, „wymysłologji" przez naukę, jest on tem dziwniejszy, że tu, uważam, tkwi *magna pars* ducha językowego danego narodu.

Bo jeżeli duch ten tak bije w oczy przy powitaniach [1]), to bije on poprostu w zęby przy wymyślaniach, chociażby z tego względu, że sam proces wymyślania wymaga od człowieka więcej szczerej, a nawet żywiołowej ekspresji, niż banalnie szematyczny proces powitania.

Na zakończenie tych wstępnych uwag należy kategorycznie podkreślić, że studjum niniejsze dotyczy tylko *wymysłów*, a nie *przekleństw*, gdyż to nie jest to samo, jak się pospolicie mniema. Przekleństwo jest to mniej lub więcej pobożne życzenie, dowodzące bezsiły przeklinającego lub ubóstwa myśli tegoż [2]), gdy tymczasem wymysł, zwłaszcza trafny, jest aktem twórczym, a bywa nawet syntezą.

I tu przechodzimy *ad rem*.

Jakże rzadko naogół używa się wymysłu trafnie! Jakże często natomiast zastępuje on szablonowe przekleństwo! Weźmy pierwszy lepszy z brzega fakt: djalog szofera z dorożkarzem... albo może lepiej polityczną polemikę w gazecie. Jak się tam wymyśla przeciwnikowi? Czy dobiera się boleśnie trafnych słów? Poprostu leje mu się na łeb kubeł pierwszych lepszych wymysłów, jakie akurat wpadną do głowy, i często anulujących się wzajemnie. To, proszę państwa, nie jest *wymyślanie*, wyraz wykwitający z pierwiastka: *myśl!* To jest *ujadanie*, gdyż jak stwierdzają ostatnie zdobycze zoologji, ujadanie kundla na przechodnia jest w psiej mowie dowolnym stekiem wymysłów. Przy takiem traktowaniu sprawy łatwo o nieporozumienie, a nawet o fiasco. Wymyślając, naprzykład, komuś: „ah, ty *bydlaku!*", zamiast: „ah, ty *ośle!*" zupełnie zbytecznie rozszerza się, ale przez to i spłyca charakter wymysłu, skutkiem czego osoba, która by się może i poczuła dotknięta przez *osła*, puści *bydlaka* mimo uszu, uważając, że tak ogólnikowo mglisty epitet nie może właściwie nikogo obrażać. To też mniemam, że już najwyższy czas, by uczeni nasi podjęli bodaj klasyfikację wymysłów, co miałoby, między innemi, wielkie znaczenie dla spraw honorowych i pojedynków, bo obecnie pod tym względem jest się jak w lesie.

Pozwalam sobie z powyższej racji poniżej przedstawić własną klasyfikację, prowizorycznie szeregując w bratnie grupy wymysły wagi niejednakowej.

Grupa *A*. W y m y s ł y z w i e r z ę c e, t. j. takie, które należy nadawać człowiekowi obdarzonemu, zdaniem wymyślającego, konwencjonalnemi wadami danego zwierzęcia. A więc: *osioł, świnia, baran, byk, hipopotam, słoń* i wogóle — *bydlę*. Rzecz znamienna, że wy-

---

[1]) Porównaj powitania u różnych narodów z zasadniczemi cechami tychże narodów, naprz.: *„Co słychać?"* (świadczące o wrodzonej polakom ciekawości do pogłosek, plotek etc.); *„Comment vous portez-vous?"* czyli: „jak się pan nosi?" (dowód starofrancuskiej skłonności do giestu); *„Come sta?"* (stwierdza południową namiętność włochów); *„How do you do?"* czyli: „jak pan robi?" (konstatuje przemożną ekspansję życiową anglosasów); *„Kak pażywajetie?"* (świadczy o okropnych warunkach życiowych Rossji) no i t. d., i t. d.

[2]) Przykład. Współczesne: *„bodajeś ręce nogi połamał!"* Staropolskie: *„bogdaj cię ciężki smród pobił!"*

raz *pies* w dzisiejszych czasach bezpośrednio wymysłem nie jest, acz był nim ongi (staropolskie: *sobaka, niedopiesek*), staje się nim dopiero przy pierwszym stopniu pokrewieństwa wdół, jako *pieski syn, szczeniak* i t. p., czego nie można twierdzić o innych zwierzętach (wyjątek: *świnia twoja ciotka!* i — u pewnych pisarzy — *kuzyn szakala, szwagier krokodyla* i *wielbłądzi pomiot*) [3]. Dla osób płci żeńskiej grupa ta przechodzi w ptasią: *gęś, kaczka, sowa, kura domowa* (dlaczego domowa, kiedy dzikich kur wogóle niema?!). Wyjątek zwierzęcy stanowią: *klempa* i *małpa*. By przy tej sposobności odrazu wyczerpać zakres wymysłów dla płci pięknej, należy stwierdzić, że powstają one z grup, *B, C, E* z dodaniem fleksji *-ka, -tka, -czka,* — lub też z przedmiotów tapicersko-bagażowych: *kanapa, pudło, tłomok* i t. p.

Grupa *B*. Wymysły anti-intelektualne: *kretyn, kiep, dureń, idjota, cymbał, warjat, matoł* i t. p. Uważam że ustalenie naukowej definicji dla każdego typka tej grupy jest jednym z najbliższych zadań psychologji.

Grupa *C*. Wymysły o różnych szczeblach etyki u zwymyślanego: *łobuz, huncwot* vel *hundsfot, łajdak, łotr, hultaj, filut, nicpoń, kanalja, drań* i t. d., lub też uplastyczniające w nim etyczne skazy związane zazwyczaj z uprawianiem pewnych fachów:*złodziej, hycel, kombinator, omentra* (u chłopów) i t. p.

Grupa *D*. Wymysły lekceważenia przez analogję: *smarkacz, szczeniak, fąfel, pętak, śmierdziel, gnyp'* etc.

Grupa *E*. Wymysł — essencja: *cholera* (*ciężka* lub *jasna*) tudzież od niej pochodnie: *zaraza, dżuma, ognipiór, zołza.*

Grupa *F*. Wymysły absolutne. Do grupy tej zaliczyłbym wymysły fantastyczne, tchnące tajemniczością i twórczą pomysłowością: *prukwa, cielepajło, farfocel, klapsdra, męcherzyna, prościel, koczpyrgała, dzyndz, czerwcia film, patałach, wredniak* i wiele innych.

Z tego dość, mimo wszystko, pobieżnego przeglądu wymysłów naszych widzimy, jak wielki ich skarbiec posiadamy w języku polskim i że nasza lira pod tym względem znacznie przewyższa dorobek twórczy narodów ościennych, ustępując jedynie bardzo nielicznym. Rozważanie jednak tej części kwestji przerasta już ramy niniejszego studjum. Fakt jest, że cudze chwalimy, swego nie znamy; fakt jest, że gospodarujemy tym kapitałem, nieudolnie zapożyczając się u obcych, gdy tymczasem możemy bez wysiłku pod tym względem przeprowadzić najściślejszą samowystarczalność. Zresztą nawet samo słowo *wymyślać* rozszczepia się, jak promień na całą gamę tęczowych słów — odcieni, jako to: łajać, fukać, sobaczyć, piorunować, miodem obłożyć, cholerować, psiekrwić, rodzinę po kątach rozstawić, dunderować, mamę obrazić i t. d., i t. d., i t. d.

[3]) Ciekawą tajemnicą psychologji zbiorowej, rozstrzygnięcie której pozostawiam przyszłym badaczom, jest kwestja, dlaczego *syn* w pewnej kombinacji może być wymysłem u nas, a *ojciec* — nie, podczas gdy u rosjan i słowian południowych wymyślanie przemyślnie krąży wokoło *matki*.

Na tejże enigmatycznej płaszczyźnie leży kwestja, czemu u nas jest i *psiamać* i *pieski syn*, a u rosjan panuje autokratycznie tylko *sukinsyn?...*

KŁOPOTY BIBLJOTEK MUZYCZNYCH

Szczęśliwe posunięcie: Po Karolu Szymanowskim, który zrzekł się dyrektorstwa w konserwatorjum muzycznem w Warszawie na rzecz swej pracy kompozytorskiej, mianowano dyrektorem średniej szkoły muzycznej Konserwatorjum znakomitego kompozytora Eugenjusza Morawskiego.

Trudno było o lepszy wybór: Morawski, świetny twórca symfoniczny, łączy w swej osobie [prócz wspaniałego talentu] wielką wiedzę, gruntowną znajomość kunsztu, połączoną z wielkiem odczuciem nowych prądów, nurtujących muzykę współczesną.

Jak sądzić można z kompozycyj Morawskiego, nie jest on bezkrytycznym wielbicielem, czy fanatykiem nowości. Doświadczenie długoletnie, rzadka wciąż jeszcze u muzyków wrażliwość na piękno literackie i plastyczne składają się u E. Morawskiego na syntezę, która konieczna jest u wychowawcy młodego pokolenia artystycznego.

Nowy dyrektor ma objąć w Konserwatorjum kurs instrumentacji nowoczesnej. E. Morawski jest w tej dziedzinie mistrzem o zasłużonej, światowej reputacji, można więc oczekiwać, że nietylko, jako dyrektor, lecz także jako pedagog specjalista odda na swem nowem stanowisku wielkie usługi Konserwatojum warszawskiemu.

*

W Polsce niema Bacha: Istotnie niema chyba u nas nigdzie kompletnego wydania wszystkich dzieł Jana Sebastjana Bacha. Jest to brak znaczny, dający się dotkliwie odczuć i badaczom, zgłębiającym twórczość tego genjalnego twórcy, jak i pedagogom, oraz historykom muzyki.

Lukę tę możnaby obecnie uzupełnić, jak bowiem dowiadujemy się, kompletne wydanie Bacha [w nakładzie Towarzystwa bachowskiego] znajduje się w Wiedniu w znanej bibljotece muzycznej, spuściznie po ś. p. zbieraczu i muzykologu Wartrasiewiczu.

W bibljotece tej oprócz całkowitego wydania dzieł Bacha i Beethovena możnaby nabyć kompletne wydanie dzieł Mendelssohna, prawie całego Palestrinę, Schuberta i Schumanna [bez oper tych kompozytorów, — oper, które jak wiadomo przedstawiają wartość zabytkową raczej].

Czy nie zająłby się tą sprawą dział muzyczny departamentu kultury i sztuki przy M. W. R. i O. P-go?

O ile udałoby się te najważniejsze wydania całego Bacha i Beethovena zakupić, należałoby pomyśleć, gdzie mają być złożone? Chyba najlepszem miejscem byłaby bibljoteka konserwatorjum warszawskiego, gdzie i muzycy i uczniowie mieliby łatwy dostęp do tych wydań.

*

Skoro już mowa o takiej użytkowej, praktycznej bibljotece muzycznej, warto kilka słów poświęcić puściźnie autografów i nut po naszych wybitnych instrumentalistach. Dobrze stało się, że referat muzyczny departamentu Kultury i Sztuki nabył autografy kompozytorskie po ś. p. Henryku Melcerze.

O ile nam jednak wiadomo, autografy koncertów fortepianowych Melcera znajdują się w rękach prywatnych. To samo dotyczy całego muzycznego warsztatu po znakomitym muzyku, a więc znacznej części literatury fortepianowej, opatrzonej uwagami i opalcowanej przez ś. p. Melcera.

Co stało się z nutami po ś. p. Józefie Śliwińskim, znakomitym pianiście, uczniu Rubinsteina, który był wszakże jednym z najświetniejszych przedstawicieli wielkiej pianistycznej szkoły romantycznej i zpewnością wszystkie party i cały olbrzymi grany przez siebie repertuar solowy musiał był mieć we własnem opalcowaniu, z własną pedalizacją i ligaturą? W nutach tych zawierało się przecież niechybnie olbrzymie doświadczenie pianistyczne Śliwińskiego i wielka tradycja, sięgająca Rubinsteina, Liszta, Chopin'a.

To, co powiedzieliśmy wyżej o Melcerze i Śliwińskim, tyczyłoby się także największego skrzypka polskiego lat ubiegłych, ś. p. St. Barcewicza.

jkb.

Z BALETU WARSZAWSKIEGO



JULJA KOSYTARZÓWNA, JEDNA Z NAJZDOLNIEJSZYCH MŁODYCH TANCEREK BALETU WARSZAWSKIEGO

Z TYGODNIA

Ubolewałem nieraz nad losem dobrych ludzi, którym przypadł w udziale zarząd miasta. Ciężkie to zadanie kierować gospodarką wielkiego miasta bez dostatecznych środków! Potrzeby Warszawy są znacznie większe, niż jej dochody. Braknie kanalizacji w nowych dzielnicach, bruki są liche, komunikacja tramwajowa niedostateczna. W szpitalach ciasno, budowa najpotrzebniejszych gmachów utknęła, Muzeum Narodowe, przy obecnym systemie robót, będzie gotowe prawdopodobnie za 150 lat, teatry w upadku. Mogłoby się zdawać: oto garść rodaków, którzy pewno dzień i noc przemyśliwają nad znalezieniem wyjścia z tych opresji, którzy po 24 godzin na dobę borykają się z trudnościami.

Rzecz zdumiewająca! Te uciążliwe kłopoty i zmartwienia nie wyczerpują zgoła umysłów magistrackich, nie wyjaławiają ich daru inicjatywy. Dowodem szlachetny projekt, który wylągł się w Ratuszu w dżdżystej porze letniej: prohibicja! Cieszcie się, obywatele! Jeszcze kilka miesięcy cierpliwości, a Warszawa dorówna Pruszkowowi. Znikną dziwno kształtne butelki wódek z wystaw sklepowych i z bufetów restauracyjnych. Skończy się przywilej patentowych, jawnych sprzedawców. Wódka, dyskretnie ukryta, będzie wszędzie! I w sklepie z owocami, i u masarza, i u zegarmistrza... W restauracjach nie dostaniesz już, przyjacielu, kieliszka wódki: będziesz musiał ją pić z filiżanki!

Któż zaprzeczy, że alkohol jest wielkiem nieszczęściem ludzkości, że należy z nim skutecznie walczyć. Statystyki popełnionych zbrodni i przestępstw są pod tym względem decydujące. Nie tylko u nas. Wszędzie. Jednak po za krajami skandynawskiemi i Ameryką nigdzie dotąd nie pomyślano na serjo o prohibicji. Prawda, Sowiety! Lepiej nie mówmy o karykaturalnych wynikach prohibicji w Rosji, o nagłym, wspaniałym rozwoju domowej fabrykacji samogonki. W Ameryce liczba przeciwników prohibicji wciąż rośnie. Ameryka zresztą może sobie na takie eksperymenty pozwolić: jeszcze sto miljonów dolarów, jeszcze pół miljarda, — trzeba coś z gromadzącem się złotem robić! A Szwecja i Norwegja? Ba, tam prohibicja została poprzedzona długą akcją wstępną. Zwalczcie, jak tam, analfabetyzm, podnieście poziom kultury w „szerokich warstwach" (czy tylko w „szerokich"?), a potem myślcie o prohibicji!

Częściową prohibicję przecież już uchwalił Sejm. Sprzedaż wódek jest w Polsce ustawowo w soboty i w święta zakazana. Wiemy, jak to prawo jest obserwowane. Czcigodny magistrat chce zabawę w ciuciubabkę rozszerzyć? Mało ma wydatków, obywatele mają dużo czasu. Więc czemprędzej plebiscyt!

— Pić albo nie pić!

Czy nie byłoby lepiej na razie demagogję zostawić Wiejskiej ulicy, a zająć się konkretnemi zadaniami, na których spełnienie ludność stolicy daremnie czeka?

. . . .

Ludzie mają do Pana Boga żal, gdy deszcz nie w porę pada, a do rządu, gdy im braknie pieniędzy. Wielu ludziom wciąż jeszcze wydaje się, iż rząd, to jakaś tajemnicza, mistyczna siła, której obowiązkiem jest tworzyć cuda. Tymczasem rząd, to garsteczka rodaków, którzy powołani zostali do administrowania interesami państwa, t. j. interesami powszechności. Rząd w drobnej mierze tylko może wpływać na położenie gospodarcze. Zależy ono przedewszystkiem od rozumnej organizacji pracy całego narodu, od siły jej napięcia, od umiejętnej oszczędności, od szczęśliwych lub niepomyślnych konjunktur międzynarodowych, — no i przedewszystkiem od wewnętrznego spokoju.

Teraz oto wszyscy wracają z letnich wywczasów i każdy pyta każdego.

— Jakże tam? Poprawiło się? Idzie?

Dowcipna odpowiedź nie daje na się czekać.

— Owszem, idzie. Jak krew z nosa.

Są jednak optymiści, którzy dopatrują się pewnych objawów poprawy. Szukają jej w przeobrażeniach, jakie zachodzą w psychice ogółu. Przedewszystkiem wzmożenie się oszczędności. Bardzo silne, niewątpliwie. Odczuwają ten zwrot wszystkie większe restauracje, sale widowiskowe, sklepy z przedmiotami zbytku. Jeśli to spostrzeżenie jest trafne, rzecz jest pierwszorzędnej wagi. Albowiem bogactwo narodowe opiera się na mocno związanym budżecie. Jeśli budżety poszczególnych obywateli będą dodatnie, budżet państwowy stanie się nim o wiele łatwiej.

Prócz tego, daje się odczuwać w dziedzinie cen fala zniżkowa. Kupcy i przedsiębiorcy poczynają rozumieć, że trzeba zejść z pałaców sterczących dumnie, lecz wiejących pustką, — że trzeba dostosować się do warunków. Tumaniono nas frazesami, że Polska jest jednym z najbogatszych krajów w świecie, że u nas dość jest się schylić, by zbierać złoto. Przekonaliśmy się, że tak nie jest. Przekonaliśmy się także, że w sprawach finansowych niema cudów. Żadnej pomocy z zewnątrz nie można się spodziewać. Liczyć wolno tylko na własny rozum, na własną pracę i na własną oszczędność. A jeśli każdy obywatel zdobędzie się na te cnoty, Polska z kraju biednego bardzo szybko zamieni się istotnie w kraj bogaty.

. . . .

Nie trzeba jednak myśleć, że tylko Polskę Pan Bóg pokarał kłopotami i koniecznością natężonych wysiłków. Cała Europa jest w tem samem położeniu. Francuz, włoch czy anglik, niemiec, czech czy belg, — wszyscy w zdwojonym trudzie odrabiają utracone majątki. Przyglądałem się zbliska obecnym stosunkom na Zachodzie: zaiste, w napięciu tych wysiłków, — pracy i oszczędności, — Polska jeszcze znacznie pozostaje w tyle. Powiedzmy zresztą szczerze, tych dwóch cnót, bardzo cennych ale nie podwyższających radości życia, nie nabywa się z dobrej woli. Są to prawie zawsze cnoty z musu, zwłaszcza gdy mają rozwijać się w narodzie, rządzącym się przeważnie uczuciem i kaprysem.

skrz.

DYMISJA DYREKTORA TEATRÓW MIEJSKICH W WARSZAWIE



ARTUR ŚLIWIŃSKI, ZNANY I CENIONY HISTORYK, WYBITNY DZIAŁACZ SPOŁECZNY I POLITYCZNY, USTĄPIŁ ZE STANOWISKA GENERALNEGO DYREKTORA TEATRÓW MIEJSKICH W WARSZAWIE



John D. Rockefeller obchodził 91-lecie swoich urodzin. Bebé Daniels, znakomita artystka filmowa, wyszła za mąż za Ben Lyona, również artystę filmowego, głośnego w Ameryce. Oryginalny rekord: Ettore Margonari przebył z Turynu do Rzymu (700 kil.), wioząc na rowerze żonę i córkę. Uniwersalny instrument, zastępujący całą orkiestrę: wynalazca Main Wood, amerykanin. Najstarszy człowiek na świecie: Zaro Agha (158 lat) Turek, w towarzystwie R. U. Johnsona, b. ambasadora amerykańskiego w Rzymie

Fot. The New York Times

SŁODKA PROPAGANDA

Jesteśmy świadkami ciekawego zjawiska. W wieku szału nienawiści wzajemnych i walki o byt, w obliczu której człowiek człowiekowi staje się wilkiem i radby bliźniego uraczyć cykutą, znaleźli się propagatorzy słodyczy wszelkiej postaci. Ze szpalt dzienników i perjodyków, z plakatów, ulotek i broszur grzmi hasło, jak kategoryczny imperatyw: „Jedz cukier — cukier to zdrowie, matko, nie żałuj słodyczy dzieciom" i tem podobne. Co znaczą te hasła? Czyżby znalazł się filantrop, czy filozof, parafrazujący przysłowie „W słodkiem ciele — słodki duch", pragnący wpłynąć na psychikę zgorzkniałego narodu a przez „racjonalne odżywianie" słodyczą wszelką żółć, która nas zalewa, wyplenić?

Ktokolwiek jest tym bezimiennym filantropem - filozofem, należy mu się uznanie i wdzięczność za propagandę słodyczy. Nietylko bowiem w abstrakcji, czy psychologji, ale przedewszystkiem w dziedzinie fizycznego wychowania, a równie niemniej w dziedzinie życia gospodarczego naszego kraju, od rolnictwa poczynając, a na przemyśle surowcowym i przetwórczym kończąc, odgrywa cukier tak wielką rolę, że na wołanie to nie powinniśmy pozostać głuchymi.

Te hasła, przyznać trzeba, o wielkiej sile sugestywnej i przekonywującej, mają na celu duże zadanie; podniesienie spożycia cukru na rynku wewnętrznym. Rzucane nieosobowo w przestrzeń, winny znaleźć najsilniejsze echo. Nie powinny pozostać głosem wołającego na puszczy, ale winny wpleść się w pacierz codzienny.

Czy można wogóle coś zdziałać propagandą, zapytają sceptycy. Czy wskutek tego wołania zmienią się gusta, a śmiertelnik zwykły zacznie rzeczywiście pić „ulepek" zamiast normalnie słodzonego napoju?

Gwoli przekonania sceptyków, że propagandą można czynić cuda, pozwolę sobie przytoczyć konkretny przykład skutku, jaki wywarła, niczem ziarno, rodzące na urodzajnej niwie.

Działo się to w roku 1920, wkrótce po przejęciu Pomorza przez władze polskie. Umiłowanie polskiego wybrzeża miało wtedy charakter żywiołowy, ale niestety — platoniczny. Gotowi byliśmy udusić w uścisku Kaszubów, za to, że utrzymali dla nas brzeg morski, ale tymczasem, niestety, bogaty połów kaszubskich sieci czekał naprózno zbytu. Polska nie chciała „flądry", Gdańsk stawał „okoniem" wobec polskiej ryby. Zjawili się wtedy w redagowanej przezemnie „Gazecie Gdańskiej" rybacy kaszubscy, z prośbą o radę i pomoc. Widząc jedyny ratunek doraźny w konsumcji, rzuciłem hasło: „Jedzcie polskie ryby, bo zginą Kaszuby". Hasło to, podchwycone przez całą prasę, dokonało cudu. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, otwarły się rynki zbytu, a Kaszubom wróciła wiara w odrodzoną Ojczyznę. Ta wiara, która dokonała nowego cudu, bo nad polskiem wybrzeżem powstał wkrótce potem port morski, będący źródłem dobrobytu w pierwszej linji dla obrońców wybrzeża. Hasło spożycia ryb rzuciła również i Anglja, wprowadzając przymus jedzenia ryb w jednym dniu w tygodniu, ratując w ten sposób los rybaków.

rok 1930 konkursy na pracę o konsumcji cukru

nagród ↑ na sumę zł.

105 — 21,750 — dla nauczycieli szkół powszechnych

25 — 20,000 — dla harcerzy

168 — 17,000 — dla sportowców

154 — 10000 — dla pisarzy gminnych

Informacyj udziela się na miejscu lub w biurze propagandy konsumcji cukru Warszawa — Krakowskie Przedmieście 55

Propaganda, mająca na celu podniesienie konsumcji wewnętrznej pewnego artykułu, jest zjawiskiem codziennem i nieodosobnionem. W Rzeszy Niemieckiej prowadzą obecnie kampanję w celu podniesienia spożycia żyta. Dociera ona nawet do wagonów restauracyjnych „Mitropa", gdzie ulotki propagandowe tłumaczą podróżnym obowiązek spożywania żytniego pieczywa, zamiast pszennego importowanego. Italja prowadzi dziś ożywioną kampanję na rzecz włoskich win, Norwegja zarzuca rynki tranem i sardynką, zawdzięczając jej dobrobyt kraju. A spożycie idzie wszędzie wślad za ożywioną i skuteczną propagandą, bądź reklamą, używającemi całej dynamiki argumentów w celu wzmożenia konsumcji.

Skoro tyle argumentów przemawia za słusznością propagandy spożycia cukru wewnątrz kraju, musimy odnieść się do tej akcji życzliwie, dać się przekonać argumentom. Powodzenie jej nie leży w doraźnych efektach, ale w stałem i konsekwentnem wzrastaniu spożycia z roku na rok, z pokolenia na pokolenie.

Jako zjawisko wtórne, że tak powiem, przy akcji propagandy spożycia cukru, prowadzoną jest walka ze szmuglem sacharyny. Przyznać muszę, że nie doceniałem znaczenia tej walki, nie zdawałem sobie sprawy ze szkód, jakie egzystencja sacharyny na rynku nam wyrządza. Propaganda spożycia cukru otworzyła oczy na to niebezpieczeństwo. Zawdzięczamy jej konkretną przysługę dla zdrowia i kieszeni. Dzięki akcji tej bowiem powstały specjalne ośrodki badania żywności. Kontrola produktów spożywczych oddaje nam dziś nieocenione przysługi. Będziemy mieli jej do zawdzięczenia niefałszowane i zdrowe artykuły żywnościowe na rynku.

Jakkolwiek z tytułu funkcji i obowiązków przystępuję do wszelkiej akcji propagandowo - reklamowej uzbrojony w „mędrca szkiełko i oko", uznać się muszę tym razem za... rozbrojonego. Mam niekłamane uznanie dla tej akcji i jej wyników w całokształcie. Efekty osiągnięte przez nią zwalniają mnie od obowiązków krytyka i rzeczoznawcy. Życzę jej powodzenia na całej linji, tak w interesie zdrowia młodego pokolenia, jak i w interesie ogólno-gospodarczym. I nie będę dekonspirował dobrego ducha tej propagandy, bo do twarzy jej z bezimienną akcją.

Nadmienić tylko pragnę, czyniąc to z prawdziwem zadowoleniem, że śladem Polski, kraje kontynentalne, produkujące cukier, zainteresowały się żywo naszą propagandą i jej metodami działania, a elaborat twórcy projektu kampanji (red. Melchjora Wańkowicza) był żywo komentowany i najżyczliwiej przyjęty na Kongresie Reklamowym w Brukseli w roku bieżącym, jako wzór godny naśladowania.

Stanisław Zenon Zakrzewski,

Prezes Związku Reklamowego Polskiego, Członek Zarządu „Union Continentale de la Publicité".

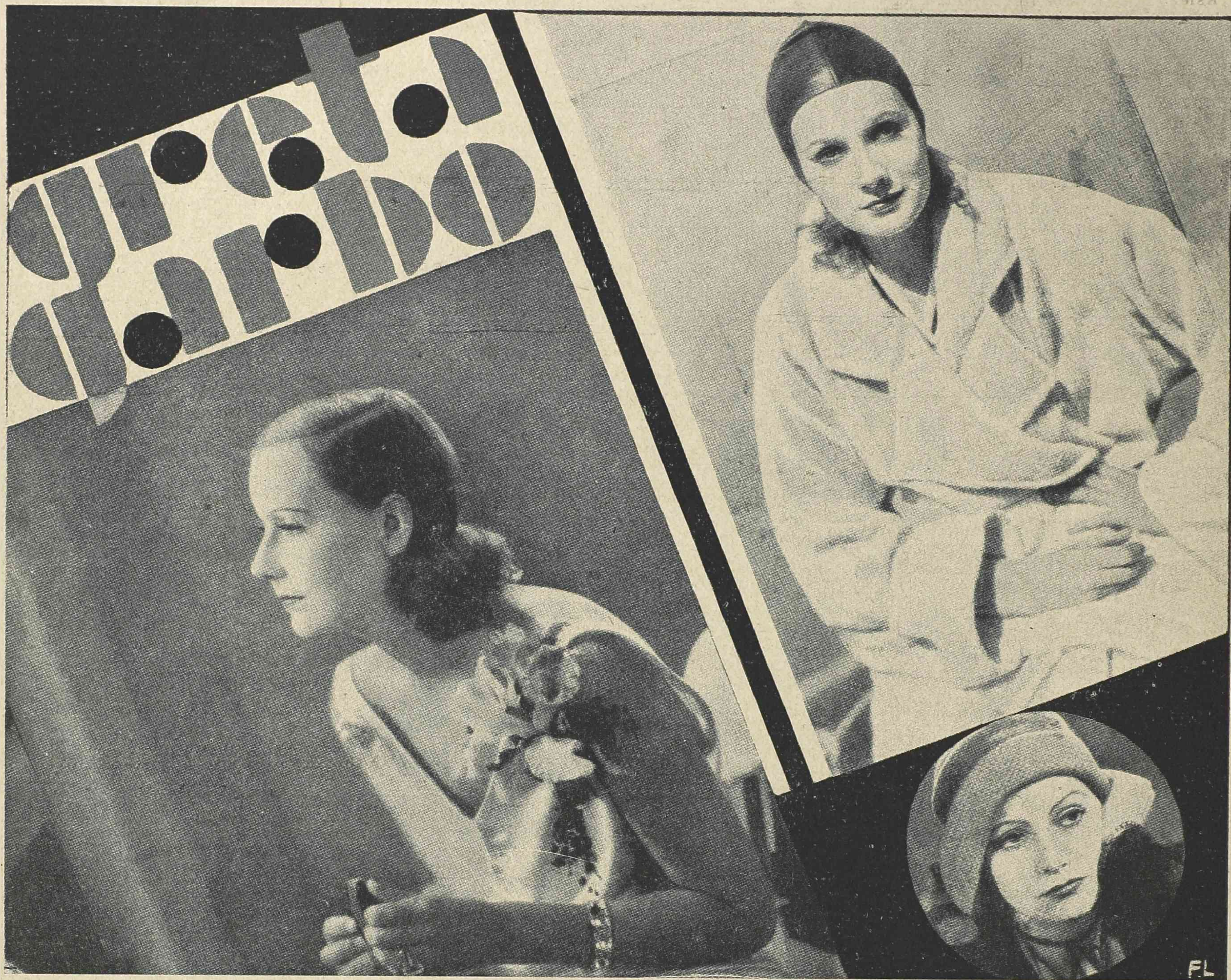
ZE SPORTU

Polskie mistrzynie: Konopacka i Waliszewska przed igrzyskami sportowemi w Pradze
Fot. J. Ryś

Mistrzyni tennisowa Polski, Jędrzejewska
Fot. Walter

(u dołu)
Raid samolotów Małej Ententy i Polski. Zwycięska ekipa czeska
Fot. J. Ryś

Dr. St. Kuligowska (A. Z. S.) przepłynęła z Helu do Gdyni



OSTATNIE FOTOGRAFJE ZNAKOMITEJ ARTYSTKI FILMOWEJ, ULUBIENICY PUBLICZNOŚCI WARSZAWSKIEJ

Szlakiem Dziesiątej Muzy

(„Ostatnia kompanja" — Nowe obrazy — Lon Chaney nie żyje)

Od czasu do czasu na szarym horyzoncie filmowym zabłyśnie gwiazda pierwszej wielkości, blaskiem swym rozpędzi chmury i mgły i olśni tłumy... Rzadko się to teraz zdarza, zwłaszcza od chwili, gdy wstąpiliśmy w epokę dźwiękowców... Napływ obrazów lichych jest wprost zastraszający; jeśli przedtem na 50 filmów niemych bywało 10 — 20 chybionych, to teraz na 50 dźwiękowych jest zaledwie pięć znośnych, a jeden lub dwa zaledwie — zasługują na pełne uznanie.

Masowa produkcja amerykańska, zalewająca nasz rynek, nie broniony przez rząd, nie mający znikąd pomocy, ani ochrony, to przeważnie wielka tandeta. Na ubiegły sezon przypadło zaledwie pięć obrazów dźwiękowych o wartościach kinowych i artystycznych: to „Białe cienie", „Upadły anioł", „Poganin", „Kobieta i żywioł" i „Dzika orchidea". To trochę za mało.

Z tem większem więc uznaniem należy podkreślić fakt ukazania się na ekranie kina „Palace" obrazu pełnowartościowego, o wysokich walorach kinowych i wysokim poziomie artystycznym. Ten obraz to „Ostatnia kompanja" — dzieje garstki bohaterów, którzy w liczbie trzynastu poświęcają swoje młode istnienia, by osłonić odwrót cofającej się przed wrogiem armji. Rzecz dzieje się w czasie wojen napoleońskich, bohaterowie to anglicy z kapitanem Burkem na czele. Film nie jest amerykański, jest pochodzenia niemieckiego i należy do grupy filmów stworzonych przez jednego najznakomitszych reżyserów świata: realizował go Joe May, ten sam Joe May, który z „Władczyni Świata" i „Hrabiny Paryża", dwóch filmów sensacyjno-kryminalnych, potrafił zrobić dwa arcydzieła ekranu; bo na owe czasy te dwa filmy Maya były istotnemi arcydziełami sztuki reżysersko-filmowej.

Joe May jest twórcą „Ostatniej kompanji". Joe May wyczuł w Konradzie Veidt'cie te cechy charakterystyczne, które pozwoliły temu świetnemu odtwórcy niesamowitych zbrodniarzy i obłąkańców stworzyć spiżową postać kapitana Burke'a. Joe May zdołał oniemić widza grozą zapadających się w trzęsawiska jeźdźców, ginących w płomieniach palącego się młyna bohaterów obowiązku, nie używając do tego aparatu nowoczesności dźwiękowej, stosowanej w filmach osnutych na tle wojny światowej. Narastający powoli tragizm sytuacji zamkniętych w starym młynie żołnierzy, obleganych przez przeważającą liczbę nieprzyjaciół, tragizm spotęgowany zjawieniem się w młynie młodej dziewczyny, wnuczki młynarza, która od pierwszego wejrzenia zakochała się w surowym i nieugiętym kapitanie (miłość ta zaznaczona jest zaledwie kilku kapitalnemi rysami) — i przyszła, by z nim razem zginąć — łączy w sobie prostotę niezwykłą i potężny wyraz.

Joe May stanął na wysokości zadania. Konrad Veidt również. Wszyscy zresztą odtwórcy tego pięknego filmu, który pozostawia niezapomniane wrażenie, byli znakomici. Joe May dał *zespół*. Zespół skojarzony całkowicie z tragizmem sytuacji bez wyjścia i z posępnym, do głębi przejmującym nastrojem.

Obrazem tym „Ufa" może się poszczycić. Wogóle „Ufa" jedna tylko, jeżeli nie wziąć pod uwagę British International Pictures, opiera się zwycięsko nawałnicy amerykańskiej, która chce zmieść z powierzchni świata wszystko, co nie jest filmem amerykańskim. Reprezentująca „Ufę" u nas Warszawska Kinematograficzna Spółka Akcyjna zapowiada na sezon bieżący cały szereg filmów, o których krążą pochlebne wieści.

Jeden z nich to nowy film dźwiękowy Emila Janningsa p. t. *„Ulubieniec bogów"*, realizowany przez reżysera H. Szwarca przy kierownictwie produkcji Eryka Pommera, a więc twórców *„Melodji serc"*. Film rozgrywa się w świecie artystycznym. Emil Jannings po raz pierwszy ukazuje się tu w pogodnej roli. Główne role kobiece odtwarzają: Renata Muller i Olga Czechowa. Jednocześnie zostaje nakręcany dźwiękowiec z życia przestępców p. t. *„Strzał w atelier filmowem"* w reżyserji i pod kierownictwem produkcji Alfreda Zeislera. W głównej roli ukaże się Gerda Maurus, niezapomniana „Kobie-

ta na księżycu" i bohaterka „Zdrady stanu".

Niedawno ukończono zdjęcia do trzeciego dźwiękowca p. t. „Hokus Pokus", realizowanego przez wybitnego reżysera polskiego Gustawa Ucickiego. W rolach głównych Liljana Harvey i Willi Fritsch.

Dalej idzie operetka filmowa p. t. „Trójka ze stacji benzynowej", realizowana przez reżysera W. Thielego. Wspomniany już przez nas reżyser polski Gustaw Ucicki przystąpi po definitywnem skończeniu filmu „Hokus-pokus" do pracy nad swym następnym filmem p. t. „Pieśń studenta". Nowy kierownik produkcji Warszawskiej K. S. A., Ernest Duday, przystępuje do realizacji filmu p. t. „Poniedziałek róż". Drugi polak, pracujący przy produkcji Warszawskiej K. S. A., Robert Siódmak, rozpocznie w najbliższych dniach realizację swego pierwszego filmu p. t. „Pożegnanie".

Dalszy plan produkcji przewiduje film Gustawa Ucickiego „Koncert w Sanssouci". Jeszcze jedna operetka filmowa będzie zrealizowana p. t. „Jasnowłosy słowik". Reżyseruje Jan Meyer. W przygotowaniu znajduje się również wielki film muzyczny p. t. „Mój luby ma klarnet".

Nagły zgon Lona Chaneya pogrążył w smutku liczne rzesze fantastycznych wielbicieli jego talentu. Chaney zmarł w sile wieku, rozpocząwszy 50-ty rok życia, na wrzód w gardle. Pozostawił on po sobie wspomnienie trwałe, jako jedyny w swoim rodzaju aktor charakterystyczny, specjalista w rolach kalek niesamowitych i potwornych, jako indywidualność bogata, jako odtwórca pełen wyrazu i pełen artyzmu. Luka, utworzona przez zgon Chaneya, nieprędko da się zapełnić: był on do pewnego stopnia niezastąpionym.

Tadeusz Kończyc

U źródła wiecznej młodości i intryg politycznych

Idylicznie położone miejscowości, Badgastein, Hofgastein i Dorfgastein, od stuleci słyną ze swych gorących, cudotwórczych źródeł. Badgastein, kąpielisko modne, we wspaniałych hotelach goszczące nababów świata, artystów sławy światowej i polityków, w ostatnich czasach zazdrośnie spogląda na skromniejsze Hofgastein, mające te same kąpiele, te same góry, piętrzące się ku niebu, ale drogi mniej strome, wymagania do kieszeni mniej wygórowane. Tu i tam widzi się niezwykłe zbiorowisko mamutów i przedpotopowych, wprost wykopaliskowych postaci, które w tych radjoaktywnych kąpielach szukają utraconej młodości. Tu i owdzie spotyka się takiego odmłodzonego 70-letniego staruszka, który bez pomocy Steinacha i Woronowa odzyskał werwę młodości, flirtuje zawzięcie z nielicznemi podlotkami, pnie się na góry i lodowce, a w dancingu robi konkurencję najmłodszym. Ale przeważają nieodmłodzone jeszcze mamuty. Karykaturzysta, zarówno jak i humorysta znaleźliby tu niewyczerpaną obfitość tematów.

Wydawałoby się, że kuracjusze w Gastein nie mają nic innego na myśli, jak kąpiele, dyetę, swoje dolegliwości i narzekania na marną w tym roku pogodę. Sąsiadując z Salzkammergutem, Gastein również cieszy się sławą nadmiernych deszczów. Ale tegoroczne lato pobiło niejeden rekord. Deszcze w dolinie, śnieg na górach pozwalały tylko rzadko na wspaniałe samochodowe wycieczki, po doskonałych choć zawrotnych drogach do Salzburga, Zell am See i różnych innych miejscowości. Poza troską o marne ciało, poza żądzą rozrywek w Gastein panuje atmosfera zakulisowych intryg i konwektyklów politycznych. Atmosfera ta należy do tradycji. Tu doszedł do skutku traktat w r. 1865 między starym Wilhelmem a Austrją o podziale zrabowanych na Danji Księstw Szlezwiku i Holsztynu; tu przyjeżdżał Bismark i Wilhelm II, niejedną tu w dziejach świata ważną powzięto decyzję.

I w tym roku obserwator mógł snuć różne kombinacje. W Gastein tego lata bawił król Iraku Feisal, szukający odbiorców na kopalnie nafty w Mossulu. Czy było tylko zbiegiem okoliczności, że w liście kuracyjnej odnaleźć można było nazwiska angielskich dyplomatów? Czyż entrevue i herbatki towarzyskie, przy których spotykano obok nazwiska Mrs Snowden, żony angielskiego ministra skarbu, nazwisko burmistrza wiedeńskiego Seitza, tak samo jak pp. Snowdenowie do socjalistycznej przynależnego partji, każą wątpić, iżby o samej tylko pogodzie lub festivalu w Salzburgu była mowa. Czy francuskiego posła w Wiedniu, Clauzela, nic z panią Snowden nie łączyło, prócz zainteresowania muzyką i sztuką austrjacką i niemiecką i tylko dlatego tak częste odbywały się do Salzburga wycieczki? Siedząc w Kurhausie lub oglądając na promenadzie typy działaczów politycznych i pań, których salony i herbatki polityczne w Wiedniu, Berlinie czy Paryżu zawsze dają wtajemniczonym wiele do myślenia, komentowano obecność finansistów niemieckich, wpływowych osobistości innych narodów, meteorowe zjawienie się królowej rumuńskiej. Zabawa fascynująca. Dla Polaka byłaby może jeszcze więcej fascynująca, gdyby mógł na tej szachownicy i swoje polskie postawić pionki. Ale Polaków w tym roku było mało.



STRÓJ LUDOWY W GASTEIN

Mieszkańcy okolicznych wiosek trzymają się jeszcze swego tradycyjnego stroju. Kobiety noszą niesamowicie komiczne kapelusiki, niby spłaszczone cylindry ze złotemi kutasami, wielkie srebrne szpilki we wspaniałych, licznemi pierścieniami warkoczy otaczających głowę włosach, ogromne czarne aż do ziemi spadające kokardy i misterne, srebrne, wysadzane turkusami naszyjniki, których pochodzenie użyteczność łatwo ustalić. Powstały one ku zamaskowaniu wola, tak często tu spotykanego. Pozatem tubylcy niezwykle uprzejmi, przyjaźnie usposobieni, choć uprzejmość, komfort tutejszy, kapele, powietrze i góry ostatecznie znajdują swój wyraz w odpowiedniej ilości austryjackich szylingów i groszy.

St. G.

Gastein.



GASTEIN. WIDOK OGÓLNY

Stalowe meble z rur na Międzynarod. Wystawie Komunikacji i Turystyki w Poznaniu

Na stoiskach niektórych wystawców Międzynarodowej Wystawy Komunikacji i Turystyki zwracały uwagę stalowe meble z rur, Siedzenia i oparcia krzeseł z materjału koloru niebieskiego w połączeniu z połyskiem stalowych błyszczących rur wyglądają bardzo oryginalnie i efektownie. Elastyczność rur pozwala uniknąć sztywności, jakie daje siedzenie na zwykłym krzesełku. Podobne meble stalowe rozpowszechniły się w wielu krajach, szczególniej Niemiec i Austrji. Jak się dowiadujemy, zamówiono już na Komturze kilkadziesiąt kompletów takich mebli oraz urządzenie jednej z kawiarń, dla których specjalnie się nadają, gdyż są lekkie, higieniczne i wygodne. Fabrykację mebli stalowych z rur podjęła jedna z fabryk warszawskich.



Meble stalowe z rur na stoisku Międzyn. Wystawie Komunikacji i Turystyki w Poznaniu

---

Aktualne uwagi o włosach

Omawiając wpływ słońca na włosy, uwzględnić należy odrębne jego działanie na włosy, tudzież na skórę głowy, w której usadowione są korzonki włosów. Na włosy działają promienie słońca z reguły ujemnie. Płowienie, przedwczesna siwizna, łamliwość, oto następstwa naświetlania słońcem. Wpływ zaś na skórę głowy może być niszczący lub zbawienny, zależnie od prawidłowego stanu, względnie chorobowego skóry. Do schorzeń zaliczyć należy minimalne nawet zmiany łojotokowe, w postaci łupieżu lub tłustej miazgi. Skóra taka, zadrażniona kwasami tłuszczowemi, ulega zgubnym dla korzonków zmianom zapalnym, jeśli bywa naświetlana. Przekrwienie zaś słońcem zdrowej skóry działa nawet zagęszczająco. O tem pamiętać powinni mężczyźni, którzy strzygą w lecie włosy. Przerzedzone włosy zagęszczają się, jeśli po wyleczeniu schorzeń, udostępni się strzyżeniem naświetlanie skóry słońcem. Kto nie może zasięgnąć porady u lekarza - specjalisty, niechaj zobojętnia kwasy tłuszczowe dwukrotnem myciem tygodniowo Shampoonem D-ra Lustra, strzyże włosy krótko a skórę naświetla słońcem. Ponieważ w lecie łatwo jełczeje tłuszcz na głowie, powinny kobiety myć często tym lekarskim preparatem głowę, celem zapobieżenia marnieniu włosów.

Dr. Z. B.

FOOT-BALL NA MOTOCYKLETKACH


ANGIELSKO-NIEMIECKI MECZ FOOT-BALLOWY NA MOTOCYKLETKACH W LONDYNIE. PRZY ROZGRYWCE TEGO RODZAJU PLAC SPORTOWY MUSI BYĆ ODPOWIEDNIO WIELKI

Fot. The New-York Times

GENERALNY KOMISARZ WYBORCZY

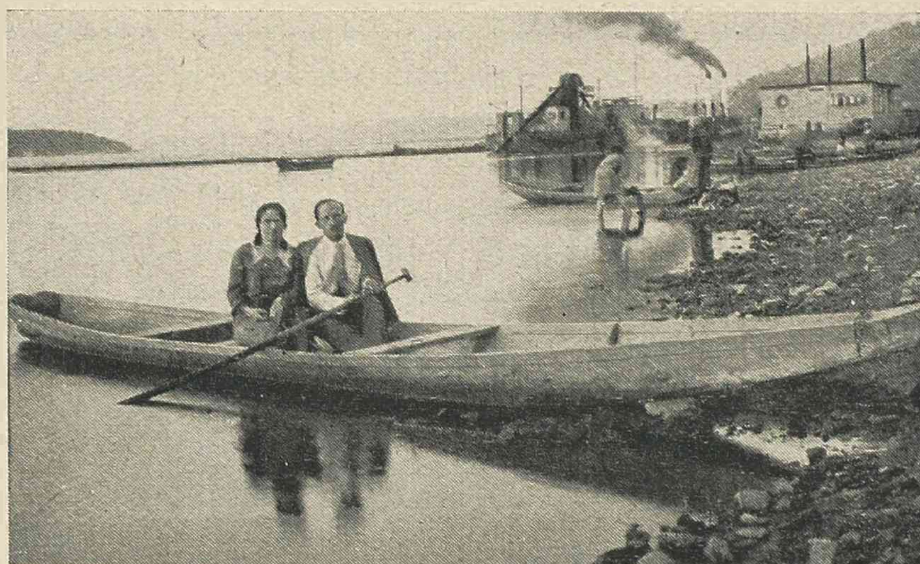


STANISŁAW GIŻYCKI, SĘDZIA SĄDU NAJWYŻSZEGO, ZOSTAŁ MIANOWANY GENERALNYM KOMISARZEM WYBORCZYM

KAZIMIERZ NAD WISŁĄ

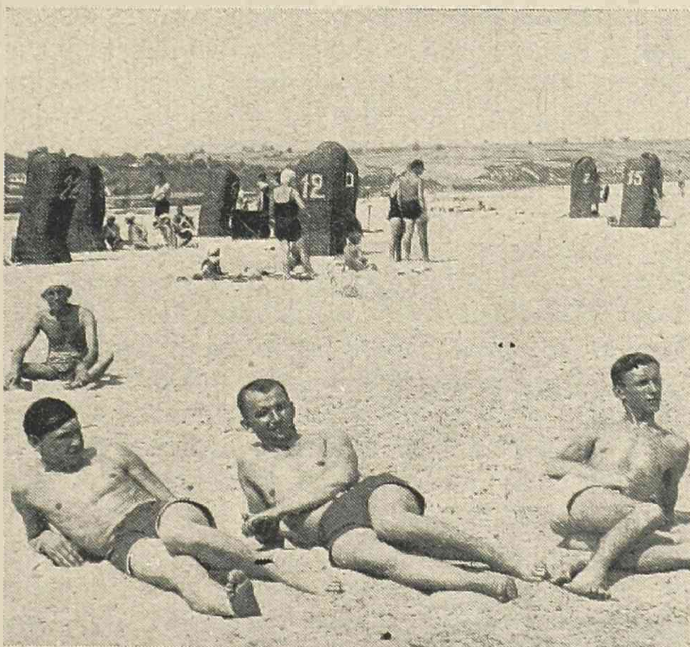


Magistrat w Kazimierzu Dolnym



Port-przystań w Kazimierzu Dolnym

Piękno architektoniczne i pejzażowe Kazimierza posiada ustaloną, dobrą sławę. Miasto to jest malowniczo położone na prawym brzegu Wisły. Z północy i wschodu chronią je od nadmiaru zimnych wiatrów wysokie góry wapienne. Od południa i zachodu otwierają się doliny o soczystej zieleni latem, a zimą o swoistym krajobrazie śniegowym. Kazimierz, jako letnisko, od lat bardzo wielu cieszył się dużą frekwencją. Obecnie jest on i stacją klimatyczną, gdyż posiada świetne naturalne warunki zdrowotne. Gleba na wapiennem, piaszczystem podłożu, obfitość insolacji, ochrona od wiatrów północnych i wschodnich czynią z tej miejscowości idealny, naturalny kurort.



Plaża w Kazimierzu Dolnym

Wszystkie urządzenia ku wygodzie kuracjuszów i letników sporządzane są przez pieczę miejscowego magistratu. Kazimierz bowiem nie otrzymuje żadnych funduszów ani też kredytów od rządu. Wszelkie inwestycje, jak też utrzymanie w należytym porządku plaż, bulwarów, czyni się na rachunek magistratu. Pobiera się dla tego niewielkie opłaty od kuracjuszów. Burmistrzem Kazimierza Dolnego jest p. Bronisław Wolny. Pieczy jego zawdzięcza ta miejscowość uważną opiekę nad zabytkami naszej przeszłości i troskę o higjenę i estetykę.

Kazimierz, jako letnisko i stacja klimatyczna, ma przed sobą wielką przyszłość.

JAK PAN SYPIA?

Sensacyjna ankieta — Nerwy podczs snu — Spokojny sen

Dr. Donald A. Laird, Dyrektor „Colgate-Laboratorium“, Instytutu psychologji eksperymentalnej, obudził niespodzianie wczesnym rankiem 400-u businessman'ów, zamieszkujących wielki nowożytny hotel w New Yorku, zadając im szereg pytań, dotyczących ich snu lub bezsenności.

Wynik tej ankiety jest godnym uwagi. Z tych, którzy narzekali na kiepski sen, co piąty nie spał dlatego, że „myślał“. Z tej zaś liczby połowa, t. j. co 10-ty, spała źle z powodu hałasu w nocy. Hotel, o którym mowa, znajduje się w dzielnicy dość hałaśliwej. Do zakłócania spokoju w nocy przyczyniały się głównie samochody, aczkolwiek nie używają one ani we dnie, ani w nocy sygnałów dźwiękowych. Poza automobilami przyczyniał się jeszcze, acz w słabszym stopniu, do szerzenia hałasu ruch nocnych tramwajów, gwizdki i sygnały policji, a wreszcie straż ogniowa.

Ilość ludzi nerwowych w Stanach Zjednoczonych jest niemała. Tylko 240 osób świadczyło, iż obudziły się w dobrym nastroju. Również tylko 240 zasnęło bez trudu. I też 240 nie mogło spać dłużej z jakiegoś powodu. Wszystkie te fakty są w swoim rodzaju zastanawiające. Również fakt, iż tylko siedem osób na każde dziesięć dało się zbudzić bez trudu, świadczy o napięciu nerwów. Połowa tych ludzi spałaby chętnie dłużej, nie wolno im jednak było spać dłużej, lub nie mogli. Ludzie interesu!

Dr. Laird zwrócił uwagę na senne marzenia i sny. Dowiadujemy się z jego badań, że zaledwie ½% miała sny nieprzyjemne. Widocznie, mimo wszystkich trosk obecnej doby, optymizm Amerykanów jest niewzruszony. Również i realizm, bowiem 300 osób nie mogło sobie uświadomić, czy wogóle śniły.

Dr. Laird sądzi, iż wynalazł środek, który może usunąć wszystkie zakłócające sen przeszkody. Utrzymuje on, iż wśród osób, które obserwował, 82 spożywały sporo cukru i te właśnie osoby zaliczały się do kategorji śpiących snem równym i spokojnym. Ludzie ci budzili się rano wypoczęci, odświeżeni, w dobrym humorze.

Interesującą byłaby tego rodzaju ankieta, dotycząca 400 polskich businessmanów, ulokowanych w hotelu, w którym numer kosztuje 35 złotych na dobę.

Co się tyczy roli cukru, jako nieszkodliwego środka nasennego, stwierdzić należy, iż właśnie w Stanach Zjednoczonych cukier jest bardzo rozpowszechniony jako środek terapeutyczny.

HUMOR ZAGRANICZNY



Obywatel suchej Ameryki taką posyła teraz swym przyjaciołom fotografję z podróży po Europie. (Le Rire)

PRENUMERATĘ „ŚWIATA“ PRZYJMUJĄ:

W WARSZAWIE: Administracja „ŚWIATA“

SZPITALNA 12. Telef.: Administracji 504-00 i 501-51

Konto czekowe P. K. O. 3755

ORAZ WSZYSTKIE WIĘKSZE KSIĘGARNIE

W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłoszeń „Promień“, Piotrkowska 81. Księgarnia „Czytaj“, Narutowicza 2. Księgarnia Ludwika Fiszera, ul. Piotrkowska 47. W KATOWICACH: Księgarnia Ludwika Fiszera, Poprzeczna 1. We LWOWIE: Oddział Tow. „Ruch“. POZNAŃ: ul. Gwarna 16, Centrala Gazet **L. Robowska. CENY PRENUMERATY: w Warszawie** odbiór na miejscu miesięcznie 5.— zł., z odnoszeniem do domu 5.50 zł., na prowincji miesięcz. 6 — zł. kwartalnie 18.— zł. Zagranicą miesięcznie 8.— zł.

Cena numeru w Warszawie, na prowincji i na wszystkich dworcach kolejowych **1 zł. 40 gr.**

Redaktor odpowiedzialny *St. Krzywoszewski* Druk. Galewski i Dau, Warszawa